No. 14. 30 h. = 25 fen.

SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.

Kraków, dnia 4. września 1909.

Wychodzi w każdą sobotę.

Z treści: **Tajemnica pergaminu.**



Pochyliwszy się nad bezwładnym Szerlokiem Holmesem — przeszukiwali troskliwie zbrodniarze jego kieszenie.

Przedruk wzbroniony.

Prenumerata kwartalna (13 numerów) wraz z przesyłką pocztową kor. 3·60, mk. 3·60, rs. 2·—.

Szerlok Holmes

Tygodnik kryminalny.

Redakcya i Administracya: ul. Zielona 7.

Prawo przekładu na inne języki zastrzeżone.

Cena numeru pojedynczego 30 hal., 25 fen., 15 kop.

Wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 14. Kraków, dnia 4 września 1909. Nr. 14.

ZE ŚWIATA.

Pies policyjny wyprowadzony w pole.

Sądzono dotychczas, że najbardziej rafinowani, najprzebieglejsi zbrodniarze, którzy drwią sobie ze wszystkich detektywów świata i nie lękają się nawet uzbrojonych żołnierzy i policyantów — że ci sami nieustraszeni rycerze nocy i występku mieli dotychczas nieprzejednanych i najbardziej zaciętych prześladowców w poczciwych zresztą zwykle czworonogach, w psach tresowanych specyalnie do tropienia i ścigania wszelakiego rodzaju opryszków.

To też nic dziwnego, że świat zbrodniczy widział w psach policyjnych swoich najzaciętszych wrogów i wszelkimi sposobami chciał je dla siebie unieszkodliwić.

Tymczasem, jak dotąd okazały się wszystkie ich usiłowania bezskutecznemi i rozbijały się o znakomitą tresurę tych zmyślnych zwierząt.

Dopiero w Paryżu zdarzył się pierwszy wypadek, gdzie zbrodniarz wykazał więcej sprytu niż policya razem ze swymi psami.

Już blisko od jakiego pół roku była najbliższa okolica Paryża, a zwłaszcza dzielnica wil i pałaców statecznie niepokojoną przez jakiegoś tajemniczego włamywacza, który w ten sposób „pracował", że nie można było nigdy na ślad jego trafić, tem mniej złapać go, pomimo wyznaczonej przez policyę premii 1000 franków za ujęcie zbrodniarza.

Dopiero, gdy włamamia w Chanitlly, Malmaison i innych miejscowościach zaczęły się mnożyć — fachowiec musiał bezwarunkowo poznać, że wszystkich włamań dokonał jeden i ten sam człowiek — wtedy dopiero — powiadamy, rozpoczęła policya gorączkową swoją czynność.

Zmobilizowano całą armię detektywów i przy ostatniem włamaniu znaleziono parę manszetów, którą złodziej zapomniał.

W tej chwili przyprowadzono jednego z najlepszych psów policyjnych i wskazano mu „corpus delicti".

„Cherry" długo obwąchiwał manszety, aż wreszcie złapawszy woń w nozdrza wyleciał jak szalony z mieszkania, popędził wzdłuż całej ulicy, a potem skierował się hen! na pola. — Detektywi za nim. Coraz dalej szło to dzikie polowanie.

Trzeba było przeskakiwać płoty, brnąć przez pola, przebyć las cały.

Nareszcie pogoń z psem na czele znalazła się nad brzegiem małego potoku.

Tu pies przystanął nagle; wszystkie wołania i zachęcania do dalszej „pracy" okazały się bez owocnemi. Poczciwy „Cherry" skuczał żałośnie i kręcąc rozpaczliwie ogonem zwracał mądre swe ślepia na detektywów, jakby od nich chciał jakiejś rady. Trop był dla psa zgubiony.

Wynik tej gonitwy był dla policyi tem mniej pocieszający, ile, że włamywacz złupił tym razem kosztowności w wartości 40.000 franków. Na razie nie można było pościgu w dalszym ciągu prowadzić i dopiero czysty wypadek wydał zbrodniarza w ręce sprawiedliwości.

Mianowicie został przyłapany w mieście Reims, gdy u pewnego jubilera chciał zrabowane klejnoty spieniężyć.

Prezydent policyi monsieur Lépin sam osobiście przesłuchiwał go w tym przedmiocie i był bardzo ciekaw, w jaki sposób Andrée Lemoulon (tak brzmi właściwe nazwisko zbrodniarza) — mógł tak wybornego i w służbie policyjnej wytresowanego psa w pole wyprowadzić?

Lemoulon dokazał tej arcysztuki w bardzo prosty sposób.

Zwykł on był mianowicie, gdy tylko uporał się z „robotą“, natychmiast zmieniać odzież, bieliznę i wszystko co tylko miał na sobie. Prócz tego wykąpał się jeszcze wtedy w potoku i całe ciało natarł silnemi perfumami.

W ten sposób udało mu się omylić i „wyprowadzić w pole“ policyjnego psa, obdarzonego nader subtelnym zmysłem powonienia.

Policya kryminalna nauczyła się w każdym razie czegoś nowego od p. Lemoulon.

Walka policyi z bandytami kościelnymi

Przy usiłowaniu pojmania pewnego tajemniczego zbrodniarza, zginęło niedawno temu dwóch funkcyonaryuszów paryskiej policyi: dyrektor Blot i agent policyjny Mugat. Morderca znany pod nazwiskiem Delaunay, który jednak z pewnością inaczej się nazywał, odebrał potem sobie sam życie.

Delaunay był hersztem bandytów, ograbiających kościoły i jako taki był od dawna ścigany przez władze.

Nazwisko jego zdradzili dwaj poprzednio ujęci, jego towarzysze, dodali jednak ostrzeżenie: „Miejcie się jednak na baczności, gdy go chcecie złapać, bo to jest człowiek wyjątkowo silny i zdolny do wszystkiego“.

Pomimo tej rady, udał się dyrektor Blot wraz z czterema urzędnikami policyjnymi do mieszkania Delaunay'a przy ulicy de la Folie Mericourt. Tu mieszkał zbrodniarz od października 1908 roku. Urządził sobie mieszkanie z wykwintnym smakiem, ubierał się bardzo elegancko i zawsze miał pieniądze przy sobie.

Chociaż dotychczas nie dawał on powodu do żadnych zajść, zarówno policya, jak sąsiedzi obawiali się instynktownie tego olbrzymiego człowieka, który zawsze z podełba patrzył i nie obcował z nikim. Często wyjeżdżał z Paryża. Przyjmował w domu tylko dwóch ludzi. Pewnego starszego pana z długą, białą brodą, z wstążeczką od orderu w butonierce, którego Delaunay tytułował per „mon capitaine“. Drugim częstym gościem była smukła, elegancka kobieta, która często aż do rana zatrzymywała się w mieszkaniu bandyty.

Po za tem nie żył Dalaunay z nikim. Miał on szczególniejsze swoje pasye i upodobania. I tak potrzebował dużej ilości światła i powietrza.

W mieszkaniu jego paliła się potrójna ilość lamp gazowych, bez względu na koszta. Nigdy w dzień nie zamykał okien a Dalaunay przechadzał się bez spoczynku godzinami całemi po swych obszernych apartamentach.

Gdy jadł w domu, kazał sobie podawać najwymyślniejsze potrawy i najdroższe wina. Zasiadał do stołu zaścielonego kosztownym obrusem, a kwiatów nie brakowało nigdy.

Gdy Blot ze swymi ludźmi przyszli do niego w nieproszone odwiedziny, słyszeli przed drzwiami jak zbrodniarz odbywał swoją ulubioną wędrówkę po pokoju, przy czem rozmawiał z jakąś kobietą.

Gdy Blot zadzwonił i zażądał w imieniu prawa otwarcia drzwi, zapytała kobieta: — Czy mam otworzyć?!

— Uczynię to sam! — odrzekł Dalaunay i natychmiast zostały drzwi otwarte.

Na progu stanął w kamizelce atletycznie zbudowany mężczyzna.

— Czy pan jesteś Emil Delaunay? — zapytał Blot.

Zamiast odpowiedzi, wyciągnął Delaunay rewolwer i wypalił do urzędnika, kładąc go na miejscu trupem. Podczas, gdy dwóch detektówów zajęło się ratowaniem dyrektora, rzucił się trzeci, Mugat na zbrodniarza.

Delaunay odrzucił go od siebie i również zastrzelił, poczem zawołał:

— Kto tu wejść się ośmieli — zginie!

Strzały zaalarmowały sąsiedztwo.

Drzwi obsadzono, a umierający Blot został przeniesiony do najbliższej apteki.

Tymczasem przybył na miejsce zbrodni komisarz de Fleury, człowiek nadzwyczaj odważny i chciał sam drzwi otworzyć.

— Poddaj się pan, panie Delaunay! — zawołał. — Obronić się już nie możesz!

W odpowiedzi rozległ się nowy strzał.

Gdy drzwi wyważono, leżał zbrodniarz bez życia, obok zabitego przez siebie urzędnika.

Obok był pokój jadalny z luksusowym stołem do kolacyi.

Po środku stał kielich z świeżymi kwiatami.

Z cyklu przygód Szerloka Holmesa.

TAJEMNICA PERGAMINU.

ROZDZIAŁ I.

Straszna noc.

— W każdym domu jest krwawa tajemica — zakonkludował lord Thishourst siedząc w towarzystwie pań i panów na terasie pałacu swego, którą właśnie w tej chwili pełnem światłem księżyc oblewał.

Willa lorda położona była w Streetham, jednej z najelegantszych dzielnic Londynu.

Towarzystwo — jak to zwykle bywa — miało zdania podzielone.

Niektórzy potomkowie sławnych rodów byli zdania, że dawno już czas minął, kiedy to prawie każdy zamek magnacki miał jakieś straszne tajemnice, każdy ród jakąś ciemną kartę w swojej historyi.

Lord Thishourst zaprotestował.

— Mogę was zapewnić moi państwo, że naprzykład nasz dom otacza jakaś tajemnica, która od trzech pokoleń trwa już i nikt jej rozwiązać dotychczas nie potrafił.

— Jakie to zajmujące! — zawołał markiz de Livreux, przystojny młody francuz, który dopiero przed kilku tygodniami został wprowadzony do londyńskiego towarzystwa. — Mów pan dalej, lordzie Thishourst!

— Nigdy mi o tem nie wspomniałeś mój ojcze! — zawołała Ellen, powabna córeczka lorda, piękna dziewczyna lat 18-tu, której złote włosy stanowiły rzadki kontrast z czarnemi oczyma.

Lord, człowiek pięćdziesięcioletni, wysoki i szczupły — prawdziwy typ angielskiego arystokraty — spojrzał ze znaczeniem na swoją młodą małżonkę która zamiast niego odpowiedziała w te słowa swej pasierbicy:

— Młode panienki, jak ty, nie powinny o wszystkiem wiedzieć!

Zresztą ani ja, ani twój ojciec nie przywiązywaliśmy szczególniejszej wagi do tej baśni i ani nasi przodkowie ani my sami, nie kusiliśmy się wcale o znalezienie skarbu w zamku Streetham.

— Ach! skarb Streethamu? — o skarb się rozchodzi?! — zapytali wszyscy ciekawie.

Młoda, kwitnąca urodą małżonka starego lorda skinęła głową potakująco.

Była to osoba piękna w całem tego słowa znaczeniu.

Miała czarny, bujny włos, który w połączeniu z ciemnemi, aksamitnemi oczyma, bladą matową cerą i zmysłowemi lecz ślicznie wykrojonemi ustami — nadawał jej charakterystyczne cechy kobiety „Południa“.

I w istocie lady Thishourst — pochodziła z Indyi. Była ona drugą żoną starego lorda.

— Tak jest! odpowiedziała na zapytanie gości. — Jest to osobliwsza historya. Z pokolenia na pokolenie przechowuje się w domu naszym legenda, że w zamku Streetham jest wielki skarb zakopany.

Podanie to datuje się jeszcze z czasów króla Karola I.

Było to w tym okresie, gdy siostrzeniec jego, Ruprecht z Palatynatu poniósł pod Marston Moor

straszną klęskę, a armia Karola I. została zniesioną pod Naseby.

Oliver Cromvell, przywódca powstania pociągnął na Londyn i zajął stolicę, króla postawiono przed nadzwyczajnym trybunałem, skazano go i stracono dnia 30 stycznia 1649 r. w Londynie.

Były to czasy pełne grozy wojennej, tem straszniejszej, że płynęła krew bratnia.

W strasznej zawierusze kraj pustoszał, ludzie ginęli na szafotach lub unosząc swoje głowy chronili się za granicę, pozostawiając na łup majątek w kraju.

Partya Cromvella nie pardonowała też nikomu. Zbiegowie wyjęci byli z pod prawa — przeciwnicy polityczni, mający odwagę pozostać na posterunku i bronić swoich przekonać, których wyrazem był król i monarchia — ginęli na rusztowaniach, a dobra ich i kolosalne zasoby dostawały się w ręce uzurpatorów władzy.

Rodzina lorda Thishourst była jedną z najwierniejszych i najpewniejszych podpór tronu.

Gdy jednak tron się zachwiał a niezadługo i runął, grzebiąc pod sobą i króla — przyszedł czas strasznego sądu i kary dla obrońców starego porządku.

Na dobre jednak nie wyszła Thishourstom ta lojalność. Nowy rząd wytoczył im proces o zdradę stanu i chęć zamachu na korzyść usuniętej dynastyi. Kilku członków rodu Thishourstów skończyło na rusztowaniu, część ich ratowała się spieszną ucieczką za granice.

Do tych ostatnich należał i Wiliam Thishourst, którego potomkiem w prostej linii był właśnie sir Harry Thishourst.

Przodek lorda Thishoursta pozostał wiernym swojemu koronowanemu panu. Do ostatniej chwili znajdował się w otoczeniu nieszczęśliwego króla — musiał potem uciekać, a skarby swoje nagromadzone od szeregu pokoleń — ukrył w murach starego zamczyska.

On sam został potem zamordowany, zamek zrabowano, a następca jego nie odziedziczył nic więcej, krom gołych murów i tajemniczego pergaminu, którego znaczenia ani on, ani nikt z jego potomków nie mógł odgadnąć.

— Jakież to zajmujące! — zawołali goście!

— Czy posiadasz pani jeszcze ten papier? — wtrącił markiz do Livreaux. — Znam się na starożytnych rękopisach i być może, że byłbym w stanie odcyfrować tajemniczy pergamin!

— Wątpię w to bardzo! – zauważył lord — Trudność w zrozumieniu tego rękopisu nie leży w nieczytelności, ile w stylizacyi i figurach przenośnych, których sam dyabeł nie pojmie!...

Żona lorda opuściła pokój i niezadługo powróciła z zeżółkłym od starości kawałkiem papieru.

Pismo było dość wyraźne a treść jego następująca:

Memento mori!

To wszystko postanawiam w duszy mojej podać do wiadomości dziedzicom Thishourst.

Od Wschodu wstaje iasnośćy poszla łukiem ku Zachodowi, gdzie iest pusto y ciemno. Podziel to na 3 części i zważ: Drzewo iest drzewem mądrości. W ten sposób chciałem cię widzieć zabezpieczonym przed ubóstwem y nędzą y moje imię zachować w czci y poważaniu.

Pisano w roku nędzy y nieszczęścia w Londynie 1650.

Lord Harry P. Thishourst.

Papier przechodził z rąk do rąk. Każdy go podziwiał, każdy starał się nadać mu jakieś określone znaczenie, ale nie udało się to nikomu.

— Stoimy przed zagadką! — sądził lord. — Nie tylko ja, ale i moi przodkowie przeszukiwali zamek Streetham we wszystkich kierunkach, ale niestety! bez najmniejszego rezultatu!

— Zwróć się pan zatem do Manolescu, króla wszystkich złodziejów — wtrąciła złośliwie lady Birmingham, wdowa po radcy parlamentu, która spędzała stare swoje lata na wykazywaniu się niezmiernemi swemi bogactwami; obsypywała zwiędnięte swoje ciało brylantami, a złośliwością swoją dokuczała wszystkim wokoło.

Kąciki jej ust miały szyderczy jakiś rys, gdy udzielała tej ironicznej rady lordowi.

— Manolescu — mówiła dalej — przypomniał się znowu światu mistrzowskiemi swojemi włamywaniami. Żaden klucz nie ma dla niego sekretu. Jestem przekonana, że zgruntowałby także tajemnicę pańskiego zamku. Po za tem ma być to przystojny, elegancki młody człowiek! — zakończyła z głębokiem westchnieniem pochwalny pean na cześć interesującego rzezimieszka.

Całe towarzystwo spojrzało po sobie ze znaczącym uśmiechem.

— Ma pani racyę lady Birmingham chwaląc zręczność Manolescu – rzekł markiz de Livreux. — Oby się pani sama kiedyś o tem nie przekonała! Ot nosisz pani naprzykład tą branzoletę wartą conajmniej tysiąc funtów!... Miej się na baczności!...

Inni goście rozśmiali się, a lady Birmingham rzuciła na mówiącego zalotne spojrzenie.

— Słyszałem w Paryżu — zwrócił się markiz do lorda — że posiadasz pan wspaniałą galeryę obrazów lordzie Thishourst! Byłbym szczęśliwy mogąc poznać te arcydzieła sztuki!...

— Dlaczego pan pierwej nie objawiłeś tego życzenia, panie markizie? — odpowiedział lord grzecznie. – Przy sztucznem oświetleniu nie można tak dokładnie jak za dnia widzieć płócien. Pomiędzy niemi są obrazy, które od trzechset, a nawet czterechset lat wiszą w temsamem miejscu na ścianie.

— Tem więcej radbym zobaczyć tak cenną galeryę! — odpowiedział markiz, a inni goście chętnie zgodzili się na obejrzenie obrazów.

W istocie był to cenny zbiór malowideł, które przodkowie lorda zebrali i tu pomieścili.

Nawet wybryki sołdackie uszanowały te skarby.

— Te zbiory są nietylko moją dumą — oświadczył lord, oprowadzając gości po galeryi — ale poza tem stanowią wielką część mojego majątku.

Po jakimś czasie powrócili wszyscy do sali jadalnej, gdzie lokaje byli zajęci roznoszeniem rzeźwiących chłodników.

— Jest tak pięknie na dworze, że doprawdy szkoda zamykać się już w domu! — rzekła Ellen, córka lorda do markiza de Livreux, który podał jej z galanteryą ramię i odpowiedział:

— Jeżeli pani pozwoli, oprowadzę ją trochę po parku!

Przyjęła grzeczność z podziękowaniem. Goście bawili się ze sobą tak ochoczo, że nikt nie spostrzegł wyjścia młodej pary, z wyjątkiem lorda Thishoursta.

Ten nie protestował bynajmniej przeciw tej nocnej promenadzie, gdyż patrzał życzliwem okiem na flirt młodego markiza z córką swoją i nic nie miałby przeciwko związkowi, z którym towarzystwo londyńskie zaczęło się już na seryo liczyć.

— Jak jasno księżyc świeci! — mówiła Ellen w rozmarzeniu, wskazując na szczyty odwiecznych drzew, posrebrzonych blaskiem miesiąca.

— Blask jego odbja się na kolii pani! — odrzekł markiz zwracając błyszczące swe oczy na przepysznych sznur pereł, otaczających obnażoną szyję dziewczyny.

Czuła, że wzrok jego spoczywa na jej plecach i zarumieniła się.

— Jest to podarek mojej matki, panie markizie — odpowiedziała — matki, którą zbyt wcześnie straciłam!

— Jakto, była pani jeszcze dzieckiem, gdy mama umarła?

— Tak, panie markizie! Kochałam ją bardzo i straciłam z nią wiele, bardzo wiele, tem więcej, że śmierć jej otacza także jakaś mgła zagadkowa, jakaś tajemnica, których tak pełno w tym ponurym naszym zamku.! — zakończyła, zadrżawszy lekko. — Proszę, panie markizie! zechciej mnie pan odprowadzić napowrót do towarzystwa!

Gdy weszli na salę, wysunęła się Ellen lekko z pod ramienia markiza, podczas, gdy lady Birmingham zatrzymała młodego arystokratę francuskiego.

— Tu pana spotykam?! Zdaje mi się, panie markizie, że lubisz pan wieczorami wzdychać do księżyca?

— Lady się mylisz! — odpowiedział markiz z galanteryą przyciskając tłuste jej łapsko do ust swoich — nie imponuje księżyc temu, kto pokochał słońce!...

Ostatnie zdanie wypowiedział patrząc ze znaczeniem w oczy starej kokietce.

Potem skłonił się jej i odszedł, a w paru minutach lady spostrzegła ku niezmiernemu swemu przerażeniu brak kosztownej branzolety na ręce.

Lady Birmingham stała przez chwilę, jak oszołomiona. Nie mogła zrazu pojąć tej potworności.

— Niebezpieczny wielbiciel słońca! — mruknęła. — Ale pomimo tego podoba mi się! Darowałabym mu dziesięć takich branzolet, gdyby tylko zdecydował się zostać moim mężem.

Podczas ożywionej rozmowy i zabawy nie spostrzegło wcale towarzystwo, że czarne chmury zbierały się na horyzoncie. Wkrótce nadeszła straszna nawalnica z piorunami i gradem.

Ponieważ burza nie ustawała, a wiele osób mieszkało daleko od zamku Streetham, przyjęli wszyscy zaproszenie lorda, by u niego przenocować. Było już dosyć późno i sala opróżniła się w niecałe pół godziny.

Lady Birmingham nie spuszczała już z oczu markiza de Livreaux. Zauważyła, że jego pokój gościnny jest w tym samym korytarzu, co i jej, i na tym szczęśliwym zbiegu okoliczności osnuła swój plan.

Była to kobieta pomimo swoich lat skłonna do szukania romantycznych przygód i — co trzeba jej przyznać — posiadająca odwagę, jakiej niejeden mężczyzna mógłby jej pozazdrościć.

Nie chciała wywoływać alarmu między gośćmi z powodu kradzieży branzolety, lecz postanowiła ją sama odebrać.

W godzinę, gdy wszystko już w zamku spało, otworzyła cicho drzwi do siebie. Owinięta była długim aż do stóp, szerokim płaszczem, a w ręku trzymała rewolwer. Następnie cicho jak kot podkradła się pod drzwi markiza. Chwilę podsłuchiwała, a potem weszła do pokoju.

Rozświeciła w tej chwili światło elektryczne i stanęła jak posąg na środku pokoju, dzierżąc w ręku nabity rewolwer.

W tem rozległ w nocnej ciszy krzyk przeraźliwy. Krzyk pochodził z apartamentów na dole, powtórzył się jeszcze raz, głośno, straszliwie, tak, że wszyscy ze snu się zerwali nadsłuchując trwożnie.

Ale krzyk zamilkł, tylko ci, co na dole mieszkali, słyszeli jeszcze czas jakiś szamotanie. Potem zapanowała grobowa cisza.

Kilkoro drzwi się otwarło. W jednej z nich ukazał się lord z bronią w ręku.

I inni panowie powybiegali na korytarze zaledwie przyodziani.

— Co się stało? — pytanie to biegło z ust do ust.

Jeszcze nie zdołano się dowiedzieć skąd te krzyki pochodziły, gdy nagle jedne z drzwi się nagle otwarły, i krwią oblany wypadł na korytarz markiz de Livreaux.

— Moi panowie! chodźcie prędko za mną! — zawołał z gorączkowym błyskiem oczu — stała się straszna zbrodnia!

— To jest pokój mojej córki! — zawołał lord.

Panowie pospieszyli za markizem; oczom ich przedstawił się straszny widok.

Ellen leżała w nocnej koszuli na dywanie. Prawdopodobnie musiała się rozegrać rozpaczliwa walka między dziewczyną, a jej mordercą, gdyż w prawej ręce trzymała jeszcze trochę włosów, które prawdopodobnie w śmiertelnych zapasach wydarła z głowy zbrodniarza. Były to czarne, lśniące jak pióro kruka włosy, które natychmiast wpadały w oko w jej białej małej rączce. Pełne jej ramiona odcinały się swym prześlicznym rysunkiem od ciemnego tła dywanu obficie krwią zbroczonego. Jej złociste włosy spływały falą po podłodze, anielska twarzyczka miała wyraz przerażenia i cierpienia, usta były jeszcze półotwarte po ostatnim krzyku, który z jej piersi uleciał a szklanne martwe oczy patrzały bez wyrazu na wchodzących.

Lord pierwszy odzyskał przytomność. Ukląkł przy córce, ale odrazu poznał, że każdy ratunek jest spóźniony.

Zadano jej ranę, której przechodzenia nikt nie mógł dociec. Oczy wszystkich szukały napróżno po ziemi morderczego narzędzia.

Pomiędzy obecnymi znajdował się także i lekarz, który natychmiast zbadał zanę.

— Morderstwa nie dokonano nożem! — rzekł wstrząsnąwszy głową, tem mniej można przypuszczać, by dziewczyna zginęła od kuli.

— Nie słyszano wcale strzału! — zauważył lord.

— Możnaby sądzić, że rana pochodzi od ostrego rogu — mówił lekarz dalej. — Ale patrzcie panowie! Oto są tu krwią zbryzgane kawałki papieru!

Istotnie! dookoła trupa leżały drobne kawałeczki papieru, na których jednak nic więcej dostrzedz nie można było prócz krwi.

Tymczasem lekarz wyjął z kieszeni mikroskop i badał bliżej zabitą.

— I w ranie znajdują się również podobne kawałeczki papieru, ale tak drobniutkie, że dopiero pod mikroskopem dają się dostrzedz! — mówił lekarz dalej.

Wszyscy spoglądali po sobie w niewymownem przygnębieniu i smutku. Lord obudził się ze swego osłupienia, w jakim klęczał przy zwłokach zabitej córki. Wreszcie zapytał chrapliwym głosem:

— Gdzie szukać, moi panowie, nędznego mordercy mego dziecka?

Wszyscy milczeli. Odważniejsi przystąpili do przeszukania pokoju. Nic jednak nie znaleziono.

Markiz de Livreaux, blady jak trup przystąpił do zabitej i wskazał ręką okno.

— Jest tylko jedna możliwość, że zbrodniarz wtargnął tutaj oknem!

Lord, który od dłuższego czasu spoglądał w milczeniu na markiza rzekł ponuro:

— Wiesz pan przecie, że okno jest zamknięte! Ale możeby mi pan objaśnił, czemu to przypisać, że pan pierwszy zauważyłeś zbrodnię? Gdyśmy weszli do sieni, pan opuszczałeś właśnie pokój mej córki!

— Objaśnienie bardzo proste! — odrzekł zapytany. Gdy pierwszy krzyk się rozległ, przechodziłem właśnie obok tych drzwi. Zaledwie drugi krzyk usłyszałem wszedłem do pokoju, by spieszyć pańskiej córce na pomoc.

— Muszę doprawdy podziwiać pański pośpiech! — odpowiedział lord. — Pański pokój leży na górnem piętrze, przytem jesteś pan kompletnie ubrany. Czy mogę pana prosić o wyjaśnienie tej okoliczności, która bądź co bądź daje nieco do myślenia?

Być może, że lord nie byłby użył tak ostrych słów, gdyby nie zmięszanie gościa z jednej strony i nieme oskarżenie widniejące z oczu wszystkich.

— Nie mogłem zasnąć — tłómaczył się markiz — i spacerowałem po korytarzu, by uspokoić swe nerwy. Nie mogę zrozumieć lordzie,' że dopatrujesz się w tem coś nadzwyczajnego! Gdybyś pan jednak chciał moją osobę łączyć w jakikolwiek związek z ohydną tą zbrodnią, to zastrzegam się z całem oburzeniem przed podobnie potwornem oskarżeniem! Każdy, który się ośmieli mi coś w tym względzie imputować, niech sobie potem sam przypisze skutki tego!

Te silne słowa wypowiedziane w groźnym tonie nie chybiły swego skutku, chociaż w istocie nie zmieniły nic z dotyczasowego stanu rzeczy.

Kilka pań, pomimo perswazyi i próśb panów prawie par force dostało się do pokoju, gdzie leżała zabita.

Dwie z nich zemdlały od razu na widok strasznie zeszpeconych zwłok młodej swej przyjaciółki. Wśród ogólnego popłochu i zamięszania, jakie powstało, jedynie tylko Dr. Rainborn zatrzymał swą zimną krew i upamiętanie.

— Nie mam nic w zapasie — rzekł. — Możeby, która z pań zechciała mi użyczyć nieco wody kolońskiej lub eteru? Tymczasem przyniesiono wodę studzienną, ale jedna z dam popadła w tak ciężką niemoc, że nie można jej było przyprowadzić do przytomności.

— Lady Birmingham ma zawsze przy sobie ocet toaletowy! – rzekła jedna z pań, a lekarz pospieszył w tej chwili do pokoju lady, przekonawszy się jednym rzutem oka, że ona nie znajduje się w grupie pań, które tu przybyły i w osłupieniu przypatrywały się wszystkiemu.

Kilku panów pospieszyło z lekarzem.

Gdy na kilkakrotne pukania nikt nie otworzył — weszli do środka. Ale w pokoju nie było nikogo.

Tymczasem zapalono w korytarzu wszystkie światła.

Teraz zauważono, że drzwi prowadzące do pokoju markiza stały otworem.

— Mam flaszkę z wodą kolońską przy sobie — rzekł markiz po chwili i pospieszył do siebie. Lekarz chciał iść za nim, ale Livreaux rzekł mu:

— Proszę bardzo niech się pan nie fatyguje! Ja już to sam załatwię!

I pobiegł do pokoju z pośpiechem, który najmniej uprzedzonemu musiał się wydać podejrzanym.

Ale Dr. Rainborn, który podzielał nieufność do markiza, z jaką było całe towarzystwo — znalazł czas jeszcze by rzucić okiem do wnętrza pokoju. To mu wystarczyło, by dojrzeć martwe ciało kobiety leżące na podłodze.

Zawołał głośno na panów, którzy w pewnem oddaleniu zatrzymali się na korytarzu i w tej chwili weszli wszyscy do pokoju markiza, który chciał wtedy wyskoczyć przez okno, ale obecni otoczyli go i przytrzymali.

Na środku pokoju leżał trup kobiety. Była to lady Birmingham.

Krótkie oględziny trupa utrwaliły w lekarzu przekonanie, że i wdowa po radcy parlamentarnym zginęła w taki sam sposób, co i córka lorda.

I ona otrzymała podobną, straszną ranę.

Tymczasem nadszedł lord. Panowie cofnęli się w milczeniu a lord Thishourst stanąwszy naprzeciw niego rzekł:

— Panie markizie! Co pan powiesz na ten nowy wypadek? Usprawiedliw się pan teraz!

— Tego wcale nie potrzebuję' — odpowiedział tenże — nie poczuwam się do najmniejszej winy ani w tym ani w drugim wypadku!

— Okno w pokoju markiza było otwarte. Lord wychylił się przez nie i rzekł:

— Z dołu nie mógł tu nikt wejść. Dla pew-

ności jednak przekonajmy się moi panowie, czy nie znajdziemy w ogrodzie śladu jakiejś drabiny!

Wszyscy mężczyźni zeszli na dół i przy świetle latarni, których kilkanaście służba przyniosła badano najskrupulatniej cały teren. Pomimo jednak poszukiwań nie znaleziono pod oknami ani drabiny, ani nawet śladu stóp ludzkich.

Uwiadomiono policyę. O spaniu nie mógł nikt z gości myśleć. Panie poubierały się i podczas gdy zegar kościelny w poblizkiej wsi oznajmił trzecią godzinę nad ranem — rozpoczął się na dole ruch automobilów i pojazdów konnych. Każdy chciał jak najprędzej opuścić ten dom zbrodni i żałoby.

Tymczasem zjawił się inspektor policyi Mc. Gordon ze ScotlandYard w towarzystwie trzech konstablów, skonstatował stan rzeczy na miejscu, a potem rozpoczął śledcze dochodzenia przeciw domniemanemu zbrodniarzowi.

Ale i policya zdawała się być bezradną.

Gdy prawie wszyscy goście opuścili dom, zjawił się inspektor z kilku młodszymi swymi kolegami.

Tymczasem Dr. Reinborn przyszedł do siebie. Trzeba bowiem wiedzieć, że szamocząc się z markizem przy oknie, otrzymał od tego ostatniego silne uderzenie pięścią w głowę, które pozbawiło go na jakiś czas przytomności.

Urzędnicy policyjni zgodzili się na jedno: Że ma się tu do czynienia z nader wytrawnym i niebezpiecznym złoczyńcą. A sposób w jaki zbrodni dokonał, gdzie nie można było ustalić jakiem narzędziem rana zadana — przypomina jaskrawo słynnego mordercę kobiet „Jacka Rozpruwacza“.

— Przedewszystkiem — rzekł major policyjny — musimy skonstatować, jakie były motywy zbrodni! Wasza lordowska Mość może mnie objaśnić, czy córce pańskiej zrabowano jakie kosztowności?

— O ile mi się zdaje, a nawet z całą pewnością — nie! — odpowiedział zapytany.

Tymczasem weszła do pokoju lady, która ochłonęła już nieco ze straszliwego wrażenia.

Rzuciła okiem na śliczną szyję zabitej pasierbicy i rzekła potem do lorda:

— Czy nie uważałeś, że Ellen miała tego wieczoru perłowy naszyjnik na sobie?

Przeszukano gorączkowo wszystkie szafy i szuflady, ale kolii nie można było znaleść.

— Łóżko nie jest ruszane — rzekł inspektor Mc. Gordon — wnioskuję z tego, że nieszczęśliwa nie poszła była spać jeszcze. Jest więc jasną rzeczą, że kolię jeszcze nosiła, gdy zbrodnię na niej popełniono. Czy rzecz ta była kosztowną, lordzie Thistourst?

— Reprezentowała wartość co najmniej 500 ft. sterlingów.

W tej chwili zajechał z szumem, hukiem i buczeniem automobil jakiś przed bramę.

Stary kamerdyner zaanonsował lordowi:

— Mr. Szerlok Holmes prosi o przyjęcie!...

ROZDZIAŁ II.

Szerlok Holmes działa.

Mężczyźni spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

— Mr. Holmes? — zapytał lord — Czegóż on tu chce? Czy ten człowiek jest wszystkowiedzącym? Żadna zbrodnia nie stanie się by ten Holmes nie wiedział o niej, czy nie przeczuł?!

— Może który z urzędników go uwiadomił? — zapytał major rozglądając się po obecnych.

— Byłoby to zbyteczne! — odpowiedział czysty, silny głos i Szerlok Holmes wszedł do pokoju w towarzystwie nieodstępnego swego ucznia Harry Taksona. — Gdyby detektyw czekał dopiero na uwiadomienie lub zawezwanie, toby zawsze zapóźno przychodził. Ale to nie należy do rzeczy. Jestem właśnie na tropie straszliwego zbrodniarza, który przed 4 tygodniami w tajemniczy sposób zamordował kobietę.

Przyjrzał się bacznie trupowi dziewczyny.

— Widzę, że rana, na którą ta nieszczęśliwa zmarła jest taka sama, wskutek której zginęła owa kobieta w Paryżu. Ścigałem zbrodniarza aż do Londynu. Wczoraj wieczór udało mi się wyśledzić jego mieszkanie. Niestety! ptaszek umknął! Natomiast znalazłem na pół wywołaną kliszę fotograficzną. Dokończyłem wywołania — i znalazłem, że fotografia przedstawiała wcale dobre zdjęcie zamku Waszej Lordowskiej Mości.

— W takim razie nie był mój gość markizem de Livreaux?

— Nie!... Ale chodźmy obejrzeć drugie zwłoki!

Holmes stał przez chwilę w milczeniu nad trupem lady Birmingham. Potem podniósł martwą prawą rękę zabitej i wskazał na wązką szramę, biegnącą dookoła ramienia.

— Czy lady nosiła branzoletę? Gdzie jest branzoleta?!

Wszyscy wzruszyli ramionami. Dokonano ścisłej rewizyi w szafach, szufladach i skrytkach — i nic nie znaleziono.

— A więc jest rzeczą pewną — rzekł Szerlok Holmes — że zarówno kolja brylantowa jak i branzoleta zostały skradzione. Dziwi mnie to lordzie, że dotychczas nie wspomniałeś mi nic o aparacie fotograficznym, który rzekomy markiz z sobą wszędzie taszczył?!

— Nie zauważyłem tego! — odpowiedział lord.

Szerlok Holmes dał znak Harry Taksonowi, który wydobył czarną kasetkę z pod łóżka i położył ją na stole.

— Jest to ta sama wielkość i system, do którego nadaje się owa płyta, przedstawiająca zamek lorda — rzekł Holmes, rzuciwszy badawcze spojrzenie na kamerę.

Następnie otworzył szybkim ruchem aparat.

Lord stał za nim wraz ze swoją małżonką.

W aparacie na dnie znajdował się szczególniejszy jakiś przedmiot, którego na razie nie można było rozpoznać.

Detektyw wyjął go i trzymał pod światło.

Była to mała damska rączka — całkiem zimna, ręka trupa!!... Przepyszny opal zdobił jeden z martwych palców.

Lady Thishourst ujrzawszą ją, krzyknęła przeraźliwie i zemdlała.

Szerlok Holmes skierował powoli spojrzenie swoje na lorda.

Lord Thishourst spuścił głowę, ręce jego drżały, wargi zbielały zupełnie.

— Szczególniejsze odkrycie! nieprawdaż lordzie Thishourst?

— Tak! mr. Holmes! — dziwne odkrycie!

Holmes uśmiechnął się, schował martwą rękę do kamery, zamknął ją i uśmiechnął się znowu.

— Wasza lordowska Mość się przestraszył?

— Istotnie! — odpowiedział — ta straszna trupia ręka okropne zrobiła na mnie wrażenie!

— Dziwi mnie, że rabuś nie przywłaszczył sobie pierścionka, który przedstawia pokaźną wartość.

— Rzeczywiście, to dziwne! — powtórzył lord bezmyślnie, a lady zapytała gwałtownie:

— Ależ skąd się ta ręka tu bierze, panie Holmes?

— Pani nosisz podobny kamień na palcu — rzekł detektyw, nie odpowiadając bezpośrednio na jej pytanie. — Widocznie, że nieboszczka miała wspólne upodobania z panią!

Poczem skłonił się i wyszedł ze swoim pomocnikiem oraz kilku panami do pokoju, gdzie spełniono morderstwo.

— Czy pana nie zastanawia to okno? — zapytał mr. Gordon.

Światowy detektyw roześmiał się.

— Otwórz je pan!

Gordon rozwarł silnie wewnętrzne skrzydła okna, którego szyby z brzękiem wyleciały. Sędzia śledczy rzucił niechętnem okiem na niego.

— Tylko nie tak pospiesznie panie inspektorze! — upomniał detektyw.

Gdy urzędnicy przeszli do dalszych pokojów, by spisać protokół i załatwić formalności — zapytał Holmes Taksona, gdy już byli sami:

— No! Harry, cobyś ty zrobił na mojem miejscu?

— Ścigałbym wszystkiemi siłami zbiegłego markiza de Livreaux!

— A jakbyś to robił?

— Hm! to byłaby trudność, gdyż nie wiem nawet w którym kierunku go szukać!...

Holmes się zaśmiał.

— Harry! Czyś nie zauważył, że w szafie wisi zarzutka męska?

Harry pomyślał trochę. Istotnie! spostrzegł coś podobnego!

— Jest to płaszcz tak zwanego markiza de Livreaux — mówił Holmes dalej. — Nie miał już czasu ubierać go. Ale teraz jesteśmy sami! podaj no tą zarzutkę mój Harry!

Następnie sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobył z niej kosztowną branzoletę lady Birmingham i z najobojętniejszą miną położył ją na gzymsie komina.

— Zwycięstwo! — krzyknął Harry rozpromieniony. — Szczęście nam sprzyja widocznie!

Szerlok Holmes wzruszył ramionami.

— Jestem innego zdania, kochany Harry! — Wolałbym gdybyśmy jej wcale nie znaleźli!

— Jakto mistrzu?

— Bo nie będzieli mieli możności wykazania zbrodniarzowi, że on tą branzoletę ukradł!

— Sądzisz Harry zbyt pochopnie! Ale cicho! podaj mi ten papier, który wypadł w tej chwili z kieszeni zarzutki!

Harry wykonał rozkaz i zapytał:

— Co ma za znaczenie ten papier?

— Zaraz to zobaczymy! O! wygląda to coś jak fantastyczny plan tego zamku!

Holmes zadzwonił następnie na służącego i kazał poprosić lorda i wyraził mu swe życzenie zobaczenia owego tajemniczego testamentu.

Lord wyszedł, a Holmes zaczął wedle ulubionego swego zwyczaju przechadzać się wielkimi krokami po pokoju.

Po chwili wrócił z tajemniczym testamentem. Szerlok Holmes przejrzał go prędko i oddał lordowi.

— Dziękuję!

Po tem skłonił się, wziął kapelusz i wyszedł, a za nim jak wierny cień wysunął się Harry.

— I co dalej mistrzu?! — zapytał Harry, po którym znać było, że z natężeniem umysłu pracuje. — Co zamyślasz teraz przedsiębrać? Czy nie byłoby najlepiej wysłać za nim gończe listy?!

Holmes uśmiechnął się tylko, idąc razem z Harrym. Zapalił swoją krótką fajeczkę i puszczał dymek z lubością.

— Twój plan nie wiele przyniósłby nam korzyści! — rzekł wreszcie — bo za tym fałszywym markizem leci z jaki tuzin listów gończych. Nie wiele by mu zaszkodził i nasz list gończy! Albo sądzisz, że ten człowiek obija się pod nazwiskiem markiza de Livraux?

— Nie! tego nie przypuszczam! — odpowiedział uczeń detektywa. — Na każdy sposób byłoby mu trudno tak się ucharakteryzować, ażeby go nikt nie poznał.

— Bądź spokojnym — odpowiedział detektyw.— Tu mamy do czynienia z prawdziwym wirtuozem, który potrafi zmieniać twarz i głos na każde zawołanie i nie będzie nigdy poznanym! Według opisu lorda sądząc, jak również z kilku innych, przezemnie zaobserwowanych okoliczności, jestem przekonany, że nie jest to nikt inny, jak Manolescu we własnej osobie!

Manolescu?! – zawołał Harry. — Jeżeli tak jest istotnie mistrzu, a nie wątpię w pańską nieomylność, to mamy do czynienia z najciekawszą przygodą, z jaką w praktyce naszej mogliśmy się spotkać! Ale, gdzie go złapiemy?

— Sądzę, że bez najmniejszej chyby przyaresztujemy go najbliższej nocy!

— Gdzie go przyaresztujemy, mistrzu?

— Na zamku Streetham. Mówię ci z góry, że o pierwszej po północy tu przyjdzie!

— Czy wiesz pan to na pewno, panie Holmes?

— Wiem to z taką pewnością, że jutro (mamy niedzielę) chcę koniecznie zrobić jakąś małą wycieczkę, chcę widzieć trochę zieleni, kawałek błękitu — chcę zapomnieć o mieście i jego wszystkich ohydach. O godzinie pierwszej przystąpimy znowuż w dalszym ciągu do pracy, która polegać będzie na tem, że o godzinie 12-ej znajdziemy się przed zamkiem tuż przed południową bramą.

— Ależ mistrzu! od tej strony nie ma żadnej bramy!

— Za to jest cała ściana formalnie naszpikowana oknami, a ludzie tego pokroju jak Manolescu wolą zawsze wchodzić oknem niż drzwiami!

— Wszystko to dla mnie jest zagadką, mistrzu!

— A więc ci ją objaśnię, bo ciekawość mogłaby cię w nocy pozbawić snu i spoczynku, na który obydwaj zasłużyliśmy sobie rzetelnie! Plan, który skreślił sobie Manolescu stoi w związku z tajemniczym testamentem, a i to wybornie poznał ten wytrawny i inteligentny bandyta.

— Na rysunku, pochodzącym z ręki Manolescu znajduje się mały krzyżyk. Zanim opuściłem zamek, przekonałem się przelotnie, że w miejscu odpowiającem krzyżykowi na owym planie, znajduje się wysokie weneckie okno. I nie zbłądzę chyba, przyjmując, że Manolescu wkradnie się przez to okno do zamku, bo z ukrytym rzekomym skarbem krzyżyk ten nie stoi w żadnym związku. Czy skarb ten jest, lub go nie ma — pomijam na razie. Manolescu, jak z jego poprzednich kawałów wiemy, jest to szczególniejszy egzemplarz złoczyńcy. Jest w nim coś na pół średniowiecznego rycerza-rabusia, na pół francuskiego romantyka. Przytem jego fachowe narzędzia, jego spryt i system są czysto „modern“.

— Opowiadanie lorda Thishoursta o jego skarbach wzbudziło w nim od razu rządzę złota i przygód. Być może, że grała w tem rolę i jego przysłowiowa ambicya.

— Teraz wobec pańskiego śmiałego rozumowania, pojmuję wszystko! — odpowiedział Harry. — Złapiemy zatem pana Manolescu w jego własne sidła! Naprawdę, że dopatrywałbym się w tej aferze humorystycznej strony, gdyby nie ta straszna myśl o spełnionych przez niego dwóch morderstwach na bezbronnych, niewinnych kobietach.

— Jesteś roztargniony, mój Harry! — odpowiedział detektyw światowy. — Zdaje mi się, że

zupełnie zapomniałeś, iż ofiara morderstwa w Paryżu miała te same rany, co dopiero zabite kobiety!

— A więc ten zbrodniarz ma na swem sumieniu nie dwie, ale trzy ofiary! Miałem o nim inne wyobrażenie! Uważałem go za romantycznego złodzieja, jak go pan sam określiłeś, ale nie za zwyczajnego mordercę, jakim się obecnie okazał.

Byli już na ulicy. Szerlok Holmes skinął na dorożkę i kazał jechać do domu, gdyż obydwom im potrzeba już było snu gwałtownie.

W czasie jazdy zauważył Harry, że mistrz jego spoglądał uparcie w jednym kierunku. Nagle wyciągnął lunetę i patrzył jakiś czas w kierunku zachodnim. Potem schował szkła do kieszeni i zawołał do woźnicy:

— Jedź do hotelu Victoria!

— Czy nie wracamy do domu mistrzu?

— Ty wiesz Harry, że ja lubię rozmaitość! — odpowiedział detektyw. — Zaręczam, że równie dobrze prześpimy się w obcych łóżkach, jak na własnej pościeli!

Gdy wchodzili na schody, rzekł Holmes:

— No, nie potrzebujemy się niczego obawiać. W domu nie przechowuję nigdy znaczniejszej gotówki, kufry nasze z perukami i innymi wartościowymi przedmiotami są jeszcze w drodze!... Harry! możemy spać spokojnie!

Przyszedłszy na „mezanin“ poszedł Holmes do telefonu, mówiąc pomocnikowi, że ma jakąś ważną wiadomość udzielić policyi.

Tymczasem Harry stał na schodach oparty o balustradę.

Na tej samej kondygnacyi schodów stało kilku panów i rozmawiało o eksplozyi, jaka niedawno wydarzyła się w mieście, na ulicy Backerstreet.

— Czy nie wiesz pan, który to był numer domu, gdzie zdarzyła się katastrofa? — zawołał Harry.

— Owszem! — odpowiedział jeden z nich — pod Nr. 37. Dom jest całkowicie zdemolowany.

— Harry pobiegł do Szerloka, który właśnie co ukończył rozmowę telefoniczną.

— Czy wiesz pan, co się stało? — krzyknął — ale prawda! pan wiesz wszystko z góry! Dom nasz wysadzono w powietrze.

— Nie wiem, ale domyśliłem się! — odpowiedział detektyw spokojnie. A potem ujął Taksona za ramię.

— To nie powinno nam odbierać humoru! Gorzej stałoby się, gdybyśmy tak znajdowali się w naszem pomieszkaniu! Ale teraz chodźmy spać! Zbudzę cię około południa. Potem weźmiemy łódkę i przejedziemy się Tamizą.

ROZDZIAŁ III.

Tajemniczy włamywacz.

Było to około godziny 11-ej wieczorem, gdy Szerlok Holmes wraz z Harrym znaleźli się naprzeciwko bram zamku lorda Thishoursta.

Powietrze było czyste i przejrzyste, cisza panowała dokoła, tak, że można było słyszeć najlżejszy szmer nawet.

Dzwon wieżowy uderzył kwadrans na dwunastą.

Szerlok Holmes usiadł na kominie, wyciągnął „Timesa“ i zaczął czytać przy świetle swej elektrycznej lampki.

Nagle wielki detektyw odłożył gazetę i wytężył sokole swe oczy na wązką ścieżkę, prowadzącą do bocznej bramy pałacu.

— Ktoś idzie! — zawołał Harry.

— Nie widziałem jego twarzy — mówił detektyw — ale ostrożność z jaką stawia kroki, by nie być widzianym ani słyszanym, jest mi mocno podejrzaną. Podejdźmy bliżej, a gdy się zupełnie od nas plecami odwróci, zabiegniemy mu łukiem drogę, tak, aby nie stracić z oczu bramy zamkowej.

I tak się stało.

Czołgając się formalnie na brzuchach, w oddaleniu jakich 20 metrów posuwali się dwaj detektywi za nieznajomym, nie będąc sami przez niego widziani.

Śledzony, był ubrany w długi szary płaszcz a dżokejka z dużym daszkiem ocieniała mu twarz zupełnie, nie dozwalając rozróżnić rysów.

Przybywszy do bramy, zapukał lekko po trzykroć palcem.

— Czy sądzisz. że Monolescu obrał by tą drogę chcąc się dostać do zamku? — zapytał, śmiejąc się Holmes.

— A więc któż jest tym człowiekiem? — zapytał Harry, zagryzając wargi.

— Przypuszczam, że wnet się dowiemy!... Ale patrzaj no! Kto to otwiera drzwi nieznajomemu? Księżyc oświetlił twarz — lorda Thishoursta! — —

Lord zamienił z przybyłym parę słów, rozglądnął się ostrożnie dokoła i potem zniknął wraz z swoim gościem za bramą.

— O! jakież to dziwne! – szepnął Harry.

— Teraz będziemy się skradać sposobem Indyan — oświadczył Holmes — nic nie pomoże, chociaż żal mi szczerze twojego nowego garnituru. Noc, w żadnym oknie się nie świeci — tem lepiej dla nas. Uważ tylko! wszystkie okna pałacu są szeroko pootwierane, by świeże wonne powietrze najść mogło. Jedynie tylko okno na I piętrze ma gęste żaluzye spuszczone. Przypatrz się lepiej!... Dojrzysz za niemi blask światła. Znak nieomylny, że w tym pokoju, a nie innym toczy się tajemnicza konferencya lorda z nieznajomym.

Detektywi podpełznęli cichutko pod sam mur i przypadli jak dwa cienie do ziemi.

Lecz nawet będąc tak blisko nie mogli wiele rozumieć z toczącej się rozmowy, słyszeli zaledwie urywane, bez związku wyrazy.

— Ręka — pierścień — lady – kolia — Holmes. — —

To było wszystko, co doszło na razie ich uszu.

— Interesujące zestawienie — mruknął Holmes — niestety! nie mówi ono wiele!

Dwaj mężczyźni za oknem mówili teraz nieco głośniej i Harry mógł usłyszeć głos obcego, który mówił gniewnym tonem:

— Niech będzie jak chce! Czy nie wystarcza jeszcze martwa ręka?!

Lord odpowiedział coś, ale co? nie można było zrozumieć.

Tymczasem przystąpił Szerlok Holmes do akcyi, na którą z niemym podziwem spoglądał Harry.

Będąc tuż pod murem wstał nagle, chwycił się rękoma za drut od piorunochronu i opierając się z całej siły nogami o mur, zaczął się wspinać ze zręcznością kota po tej niebezpiecznej pionowej drodze.

Nagle rozległ się krzyk z pokoju, potem nastąpił strzał — i znowu cisza.

Holmes był już w pokoju, dostawszy się przez okno i odrzuciwszy żaluzyę silnem kopnięciem nogi.

Teraz rozległy się kolejno po sobie następujące trzy strzały.

— Mój mistrz jest w niebezpieczeństwie! — zawołał Harry do siebie — trzeba mu spieszyć z pomocą!

Zerwał się i poskoczył do drzwi, które atoli zastał zamknięte.

Zaczął więc do nich palić z rewolweru, chcąc je roztrzaskać.

Nagle drzwi się otwarły, ukazała się w nich jakaś postać męska i równocześnie otrzymał Harry potężne uderzenie w głowę. Mógł jeszcze zauważyć tylko twarz nędznika, który prawdopodobnie kolbą rewolweru zadał mu dotkliwe obrażenie.

Ścigać człowieka tego nie mógł, ani wedrzeć się do zamku, krew bowiem zalała mu oczy, a po chwili stracił przytomność i jak martwy zwalił się na ziemię,

Tymczasem w zamku zbudziło się wszystko. Lady Thishourst przybiegła na dół w negliżu.

Służba rozbiegła się jak szalona dokoła i o mało nie wzięła pokrwawionego Harry Taksona za sprawcę tej nocnej sceny.

Harry krzyczał głośno za Holmesem. Detektyw odpowiedział mu z pokoju, i tak zoryentowali się, gdzie się obydwaj znajdują.

Gdy Harry, który już przyszedł do przytomności, wstąpił do pokoju wraz z lady i służbą — przedstawił się jego oku szczególniejszy obraz.

Szerlok Holmes stał przy stole zasianym tlejącymi się papierami. Ogień unosił się jeszcze, niszcząc zupełnie resztki potarganych świstków.

Światowy detektyw przyciskał prawą ręką lewe swe ramie — widocznie musiał być ranny. O kilka kroków dalej leżał na ziemi lord Thishourst. Miał ciężką ranę na czole, ranę mającą ogromne podobieństwo z raną, którą odniósł w nocnej potyczce. Druga groźna rana była na szyi.

W pierwszej chwili byli wszyscy zmięszani, że nikt nie wiedział, co począć. Dopiero Szerlok Holmes opanował zamięszanie.

— Spokoju, szlachetna pani! — rzekł do lady, która schyliwszy się nad mężem, patrzyła ze zgrozą i przestrachem na krwawiącą się ranę. — Skaleczenie pochodzi od sztyletu, ale nie jest śmiertelne — znam się na tem. Zbrodniarz nie naruszył tętnicy, przeciął tylko muskuły szyi.

— Harry! — rzekł mu – utnij no rękaw z mojego ramienia i zobacz czy kula nie da się usunąć bez pomocy lekarskiej. Otrzymałem postrzał z rewolweru! Zdaje mi się jednak, że kula odbiła się od kości i uwięzła w mięśniu.

Harry zrobił jak mu polecono, gdyż zarówno on, jak i mistrz jego znali się wybornie na hirurgii. Usunął kulę, wymył ranę i obwiązał, tak, że, gdy lekarz przybył nie miał nic więcej do czynienia z rannym detektywem.

— A teraz powiedz mi mistrzu, co tu zaszło właściwie? — zapytał Harry gorączkowo, gdy obaj z detektywem znaleźli się w salonie, dokąd ich wprowadzono.

— Możesz sobie wyobrazić mój Harry — odpowiedział Holmes, obwiązując mu ranę na czole. — Rzecz prosta. Człowiek, który wkradł się do zamku, byłby zabił lorda z pewnością, gdybym na czas nie był przybył.

— Tak! a potem strzelał do was?

— Nie! Te strzy strzały były dla mnie przeznaczone, a pochodziły z broni lorda.

Harry spojrzał zdumionemi oczyma na mistrza.

— Lord, lord Tishourst strzelał do was? — Zapewne myślał, że to jakiś drugi bandyta!

Nie, nie było tu pomyłki. Przypatrzył mi się dobrze i potem trzykrotnie wypalił. Poznał mnie bez kwestyi.

— Ależ musiał chyba wiedzieć, że przybywacie mu z pomocą!

— Z pewnością! Równocześnie, wpakowawszy mi kulę w rękę, rzucił płonącą świecę na stół z papierami, które w tej chwili się zajęły, nie pozostawiając nic po sobie jak tylko popiół.

— No, teraz znowu stoję przed zagadką, której rozwiązać nie jestem w stanie! — zawołał Harry. — Nie wiem nic ponadto, jak tylko, że człowiek, który powalił mnie u bramy — był Manolescu!

Słowa te wywołały wielkie zdumienie na twarzy detektywa, który rzekł:

— Czy na prawdę poznałeś w nim Manolescu?

— Przysięgnę!

— Czy się nie mylisz?

— Nie! — potwierdził słowa swoje ze stanowczością Harry — Czyż mało razy miałem gończe listy z jego portretem w ręku?!

W tej chwili ukazała się w pokoju lady Tishourst. Ubrana w powłóczystym penioarze spływającym po pełnych jej kształtach, szła z rozpuszczonymi włosami i błyszczącymi oczyma. Była po prostu czarownie piękna.

Ze słodkim uśmiechem zwróciła się teraz do detektywa i rzekła:

— Lord przyszedł już do siebie, panie Holmes! Kazał panu z całego serca podziękować i dowiaduje się, czy rana zadana panu ręką zbrodniarza nie jest ciężką?

Pół pogardliwe, pół ironiczne spojrzenie okrążyło usta detektywa.

— Dziękuję lady za troskliwość pani i jej szanownego małżonka! Zechciej pani oświadczyć Jego lordowskiej Mości, że zbrodniarz — to ostatnie słowo wymówił z naciskiem — że zbrodniarz chybił!

Lady Tishourst podała detektywowi rękę z radością.

— To mnie bardzo cieszy mr. Holmes! Cieszy mnie niewymownie! Czy mogę co uczynić dla pana?

— Nie lady! Dziękuję serdecznie! Opuszczam z moim uczniem zamek i udaję się do Londynu!... O! sacre-bleu! Zapomniałem mojej gazety, może lady będzie łaskawa podarować mi ostatni numer „Timesa“.

— Z największą chęcią!.

Otrzymawszy żądany numer gazety, którą służący mu przyniósł, pożegnał się Holmes uprzejmie z gospodynią domu i razem z Harrym udali się automobilem lordowstwa — do miasta.

— Do hotelu Victoria! — zawołał szoferowi.

Podczas jazdy zaświecił Holmes elektryczną lampkę w powozie i wyciągnął numer Timesa, a następnie podał ją z uśmiechem Taksonowi.

— Co cię uderza mój Harry na tej szpalcie? — zapytał.

— Nie trudno zgadnąć!... Jest tu pewna notatka zakreślona czerwonym ołówkiem.

— Teraz rozumierz dlaczego zażądałem gazety od lady? Mój egzemplarz mam dobrze schowany w kieszeni!

Harry czytał półgłosem:

„Jak się dowiadujemy przedsiębierze Mr. Blake dzisiaj popołudniu nowy wzlot na „Fortunie“. Życzymy dzielnemu aeronaucie, by tym razem śmiałe jego próby pomyślniejszym skutkiem zostały uwieńczone, by mu się udało wreszcie rozwiązać problemat sterowania balonami“.

— Zdaje się, że lord Tishourst interesuje się żeglugą powietrzną — rzekł Harry.

— Oczywiście. Musi mieć po temu swoje powody, podobnie jak i ja!

W tej chwili skręcił Holmes raptownie światło elektryczne w powozie.

— Dla czego to czynisz mistrzu? — zapytał Harry zdziwiony.

— Bo jest zupełnie zbytecznem, ażeby nam posłano kulę rewolwerową!

— Czy się pan obawiasz czegoś podobnego?

Zanim Holmes mógł odpowiedzieć, dał się sły-

szeć strzał. Automobil pędził z wzrastającą szybkością.

Harry spojrzał prędko na swego mistrza.

— Chwała Bogu! Kula nie trafiła nikogo!...

— Widziałem tego człowieka! Stał tu na rogu!

W tej chwili automobil podskoczył. Pasażerowie zderzyli się głowami i zarazem spostrzegli, że szoferowi wymknęło się koło sternicze z ręki, a on sam jakby wyrzucony z procy wyleciał w wielkim łuku z pojazdu, który dalej pędził ze zdwajającym się w każdym momencie szalonym tempie.

Straszna to była jazda. Przez kamienie i rowy gnał pozbawiony szofera automobil narażając się co chwila na rozbicie o słupy latarni lub drzewa, lub stoczenie się do głębokiej fosy, jaka ciągnęła się wzdłuż gościńca.

Śmierć pasażerów zdawała się nieuchronną.

Właśnie przejeżdżał automobil około stacyi Herme Hil, gdzie szyny przecinały gościniec. Tymczasem automobil zawadził o kamień, co nadało mu nowy kierunek — i niespodziewanie skręciwszy w lewo poleciał po szynach kolejowych naprzód.

Z ciemności błyszczały zdala dwa olbrzymie ślepia. Były to latarnie zdążającego naprzeciw nich pociągu.

W tem rozpaczliwem położeniu, Szerlok Holmes rozbił zdrowem ramieniem szklanną ścianę oddzielającą coupée od siedzenia szofera i zdołał dzięki swej sile i odwadze dostać się na przednie miejsce.

W jednej chwili opanował ster. Landara nagłym wzrotem zeskoczyła z nasypu kolejowego i potoczyła się w tej chwili na drogę boczną leżącą o jakie dwa metry niżej trasy.

Koła automobilu zaryły się w piasek. W tej samej chwili z hukiem i szumem przeleciał szynami pociąg.

Szerlok Holmes i Harry zostali ocaleni dzięki przytomności umysłu i odwadze detektywa, a z nimi razem i liczni pasażerowie jadący pociągiem, który byłby się bez najmniejszej kwestyi wykoleił wjechawszy w cały rozpędzie na olbrzymi automobil.

Harry blady jak trup wyszedł z coupée.

— No, takiej jazdy nie pamiętam jeszcze póki żyję! — rzekł zmienionym głosem.

— Tak! było to trochę denerwujące! — przyświadczył Holmes — Najfatalniejsze jednak z tego że musimy teraz „per pedes apostolorum“ iść aż na Bramly!

— Ależ tam nie mieszkamy, Mistrzu!

— Wiem o tem! — odparł Szerlok Holmes — ale mieszka tam za to mr. Blake, któremy zamierzamy złożyć wizytę!...

ROZDZIAŁ IV.

Tajemnice zamku Streetham.

Około godziny trzeciej znalazł się Szerlok wraz ze swoim pomocnikiem przed eleganckim domem w Bromly.

— Czy rewolwer twój w porządku, Harry?

— Tak jest mistrzu! Jak widzę nie spodziewasz się zbyt uprzejmego przyjęcia u aeronauty.

— Wnosząc z dotychczasowych doświadczeń mam zupełne prawo przypuszczać, że mr. Blake nie da nam się dobrowolnie ująć!

— A Blake to jest Manolescu? nieprawdaż?

— Przysiądz bym na to nie mógł, jednak wszystkie okoliczności przemawiają za tem!... Tu zresztą znają tylko aeronautę Wiliama Blake — mówił dalej wkładając wytrych do zamku — Naprzód mój Harry!...

Znaleźli się w bardzo eleganckiem, z komfortem urządzonem mieszkaniu. Przez kilka pokojów, w których nie zastali ani żywej duszy, weszli do ostatniego — sypialnego.

Trzymając w rękach rewolwery gotowe do strzału stanęli na środku pokoju. Holmes zaświecił wiszącą elektryczną lampę. W jasnym jej blasku ujrzeli młodego, może 30-letniego mężczyznę leżącego w łóżku. Miał pełną wdzięku, kobiecą niemal twarz, której męzkiego wyrazu nadawała jedynie mała, czarna bródka.

Leżący spoglądał na przybyłych dziwnym, trudnym do określenia wzrokiem.

— Masz pan dużo zimnej krwi, mój przyjacielu! — rzekł Holmes ironicznie przystąpiwszy do łóżka — Odgrywasz pan od kilku tygodni nader zręcznie rolę aeronauty Wiliama Blake, ale uważałeś pan za stosowne pozbyć się w nocy swej brody. Aresztuję pana w imieniu prawa!...

Ale Manolescu nie poruszył się nawet. Przeciwnie, na ustach jego zaigrał coś jak uśmiech pół szyderczy, pół wzgardliwy.

— Bezczelny łajdak! — rzekł Harry — Nie widziałem jeszcze u nikogo tyle zimnej krwi!

— Odstąp no nieco! — rzekł Holmes do Taksona — jak widzę on ma jeszcze na sobie kołnierzyk. Coś w tem jest!

Przystąpił do łóżka i jednem szarpnięciem zerwał z niego kołdrę. Manolescu leżał rzeczywiście w kompletnem ubraniu, ale nie mógł żadnego poruszenia zrobić, gdyż ręce i nogi miał skrępowane grubymi na palec postronkami. Teraz dopiero spostrzegł Holmes, że Manolescu ma w ustach knebel.

— To się wszystko kończy! — zawołał Harry zrobiwszy to samo odkrycie. — Czy tej nocy jest wszystko zaczarowane?!

Za chwilę Manolescu był wolny. Zeskoczył z łóżka i oddając ukłon, jakiego by się żaden dżentelman nie powstydził — rzekł grzecznie:

— Dziękuję serdecznie! — rzekł szczerze — to była nieznośna sytuacya! Ale nie zauważył łaskawy pan, że na końcu łóżka znajduje się rewolwer, który byłby w tej chwili wypalił przy najmniejszem z mej strony usiłowaniu uwolnienia się z tych więzów. Całe szczęście, że przeciąłeś pan pęta na moich nogach, a nie ów sznur będący w połączeniu z cynglem rewolweru. W tej chwili byłbyś już trupem!...

— Jeśli się nie mylę — mówił w dalszym ciągu dziweczny ten dżentelman — to mam przyjemność widzieć przed sobą mr. Szerloka Holmesa.

— Do usług!... A pan jesteś Manolesseu!

— Zgadłeś pan! Zdaje mi się, że jestem szeroko znaną osobistością! Czy nie byłbyś pan tak grzecznym objaśnić mnie, która godzina?

Harry rozśmiał się. Ten człowiek miał naprawdę dziwne zachowanie!

A może próbował zimną krwią swoją zaimponować Holmesowi?!

Ten ostatni spełnił życzenie złodzieja, spojrzał na zegarek i rzekł:

— Jest dopiero wpół do czwartej nad ranem! Może pan będziesz tak dobry objaśnić mnie, jakim sposobem wlazłeś do tego mieszkania?

— Ależ proszę, Mistrzu! Pan, szczyt roztropności, korona mądrości, kwiat sprytu, pan, jednem słowem Szerlok Holmes, nie możesz pan tego pojąć, że mieszkam w tym domu?!

W takim razie jesteś pan równocześnie panem Manolesseu i aeronautą Blake, który przed kilku miesiącami wypłynął na horyzont Londynu?

— Well! Gram podwójną rolę. To jest bardzo zabawne! Raz jestem Blake, raz Manolescu! To się panu nie podoba!? A mnie bardzo! — rzekł Manolescu.

— Co się stało, że znachodzimy pana w jego własnem mieszkaniu skrępowanego?

— W bardzo prosty sposób!.. Przed kilku godzinami napadł mnie tutaj ordynarny jakiś człowiek, który bez żadnego powodu chciał mnie utłamsić!...

— Czy znasz go pan?

— Ani trochę! Miałem to szczęście dopiero teraz po raz pierwszy go widzieć! Ale to niebezpieczny, brutalny bandyta nie mający pojęcia o wielkoeuropejskiej ogładzie! O! pan, to rozumiem! Pan jesteś szarmantem, panie Holmes, szarmantem w całem słowa znaczeniu! Zupełnie tak samo, jak i pański dzielny pomocnik, który widocznie zmienił teraz swoje wierzenia na punkcie — krawatek! Teraz ma na przykład na szyi wspaniały modny fontaź!.. niech pana dyabli porwą panie Takson!..

Harry Takson cofnął się roztropnie, gdyż Manolescu przystąpił doń całkiem blizko podziwiając krawat, na którym nic tak dalece osobliwego nie było!

Szerlok Holmes przechadzał się jakiś czas w milczeniu nie spuszczając z oka Manolescu.

Potem otworzył okno.

— Hej! konstabl! — zawołał z góry na policyanta.

— Yes!

– Jestem Szerlok Holmes! Czy znasz pan mr. Blake, aeronautę?

— Yes!..

— Przed godziną wyjechał z domu automobilem wynajętym. Powóz wrócił przed kwadransem na swoje stanowisko.

— Wybornie! Pójdźno pan na górę! Musisz przez jaką godzinę pilnować złodzieja, pana Manolescu!

— Jak pan widzisz kłamstwa pańskie nie trzymają się jakoś kupy. Mówisz, że jesteś Blake, leżysz we własnem mieszkaniu związany jak baran a równocześnie przed godziną dom opuściłeś!

— Konstabl!.. odpowiadasz mi pan za tego człowieka. Przy najmniejszem usiłowaniu ucieczki, pal mu pan w łeb bez pardonu!

Zanim detektyw odszedł przeszukał dokładnie ubranie Manolescu w tej nadziei, że znajdzie coś, co go naprowadzi na wyraźniejszy trop zbrodni.

Wyciągnął z kieszeni jego jakiś przedmiot, w którym rozpoznał kolię zamordowanej córki lorda

Thishourst. Niektóre perły miały jeszcze ślady krwi na sobie.

Wielki detektyw rzucił pełne pogardy spojrzenie na zbrodniarza i wziął do siebie klejnot.

Manolescu skłonił się z uśmiechem.

— Do widzenia panie Holmes! — zawołał z ironią.

— Jedź na Bow-Riad zawołał detektyw szoferowi, gdy wsiedli do automobilu na ulicy.

Nagle popatrzał na swego ucznia i rzekł:

— Zgubiłeś swoją złotą szpilkę od krawatki!

Harry chwycił ręką za krawatkę.

— Do dyabła! — zaklął — teraz pojmuję, dlaczego Manolescu tak interesował się moim krawatem! Ta bestya ją skradła!

— No, mój kochany, to powinieneś był już cokolwiek uważać. Zapewne spotkamy jeszcze tego człowieka, który Manolesca skrępował. Musi to być łotr jeszcze większy od niego samego!

— Która godzina panie Holmes?

Detektyw siągnął po swój złoty zegarek, ale wyciągnął próżną rękę z powrotem.

Harry zrobił komiczny grymas.

— No i cóż Mistrzu?

Holmes wzruszył ramionami.

— I mój zegarek poszedł za twoją szpilką! Na prawdę nie widziałem jeszcze bandyty, któryby miał tyle zręczności i humoru zarazem! Cofam mój zarzut Harry! I ja nie byłem mądrzejszy od ciebie!

Automobil zatrzymał się przed postojem motorowych wozów. Pasażerowie wyskoczyli, a Szerlok Holmes zapytał jednego z szoferów, czy nie brał kto stąd dorożki, ktoś, kto niedawno sam automobilem tu zajechał?

— Well! — odpowiedział szofer — dziwiłem się nawet, że nie zatrzymując się nawet odjechał zaraz!

— Acha! mamy go! — bąknął detektyw — dokąd on pojechał?

— Do Bramly!

— Do Bramly? Ależ stamtąd przybywamy właśnie!

Zaledwie ujechali parę ulic, rozległ się strzał i w tej chwili rzucił się Holmes z tyłu na szofera.

Ale ten ostatni posiadał olbrzymią siłę. Pomimo tego udało się Holmesowi zedrzeć mu z twarzy maskę i okulary szoferskie, z pod których ukazała się twarz Manolesca.

Widząc, że jest poznanym zahamował nagle szofer pojazd tak, iż wskutek wstrząśnięcia pudłem powozu Holmes i Harry wylecieli w przeciwległe strony na ziemię, a zbrodniarz zniknął w dali.

— To była prawdziwa pierwsza nasza porażka — zawołał z żalem Holmes dźwigając się ze ziemi. Taka druga sposobność przyaresztowania łotra nie trafi nam się prędko!

— Poznałeś go Mistrzu?

— Natychmiast, gdym z nim jeszcze rozmawiał na stacyi automobilów.

Wzięli inny automobil i pojechali szybko do mieszkania aeronauty-włamywacza.

Znaleźli konstabla związanego.

Z Manolescu nie pozostał ślad nawet.

Światowy detektyw zaczął z gniewem wymyślać policyantowi.

Biedny człowiek tłómaczył się niemal ze łzami w oczach, że zbrodniarz posiadał szaloną siłę i zręczność — przewrócił go, skrępował i znikł.

— Po raz drugi pokonany! — rzekł zgrzytając zębami Holmes — ale trzeci raz nie uda mu się to z pewnością!

Harry zauważył tymczasem pozostawioną na stole karteczkę.

Oto jej treść:

„Wielki Mistrzu szpiclowskiej sztuki!

Wybacz pan, że nie czekałem na Jego powrót! Ważne interesa powołują mnie gdzieindziej! Zapewne domyślasz się pan, że zamierzam złożyć wizytę w zamku Streetham! Korzystam z wolnego czasu, a nie marnuję go tak jak Pan, który tymczasem rozbijasz się bez celu po przedmieściach! Donoszę Panu zatem, że pojechałem do Streetham, gdzie przyjemnie byłoby mi spotkać się z Panem!

Uniżony sługa Manolescu".

Taksonowi nos się wydłużył, gdy Holmes czytał ten list półgłosem.

— Gdy go złapię, zduszę go własnemi rękami! — zawołał z furyą młodociany pomocnik detektywa.

Holmes roześmiał się. Odzyskał już swój dawną wesołość i odrzekł:

— Z tem wszystkiem musisz przyznać, że jest to zbrodniarz godny walki z nami! Człowiek posiadający niezrównany humor przytem! Byłoby niewcześnie popuszczać cugli wściekłości swojej. Konstabl! proszę z nami! Jedziemy natychmiast do Streetham, skoro p. Mamolescu tak uprzejmie nas tam zaprasza!

Za chwilę pędził automobil w kierunku zamku lordowskiego.

Wielki detektyw miał pewne wątpliwości.

— Zyskał godzinę czasu — mówił jakby do siebie. — Ten chłopak ma wszystkie zalety na wybitnego złoczyńcę, a przedewszystkiem posiada cudowną jakąś szybkość działania. Być może że nie zastaniemy go już na miejscu!..

Stanęli przed zamkiem.

— Mistrzu! okno jest zamknięte! Manolescu zadrwił sobie z nas!

Tu żadnego włamania nie było.

Pospieszyli do pokojów; prawie wszystkie drzwi stały otworem, lecz nigdzie nie było ani śladów gwałtownego wtargnięcia, ani nic coby zdradzało obecność włamywacza.

Wszyscy trzej przebiegli różne sale i apartamenta i wreszcie spotkali się przed drzwiami wiodącemi do sypialni lorda.

Weszli. Na otomanie spoczywał z wyrazem kamiennego spokoju na twarzy, stary lord; prawa ręka zwisała bezwładnie na podłogę, przed otomaną widniała szeroka kałuża krwi.

Harry się wzdrygnął.

— Na miłość Boską Mistrzu! — zawołał. — Czy ja dobrze widzę? Lord przecież nie — —

— Masz słuszność! Lord Thishourst nie żyje! Przed pół godziną został zamordowany.

— Gdzie lady?

— Zdaje się, że nikt nie ma przeczucia jeszcze, co w tym domu zaszło!

Odprawił konstabla.

Policyant ukłonił się i wyszedł.

Tymczasem zjawiła się lady. Zaledwie rzuciła spojrzenie na lorda — padła zemdloma.

Szerlok otrzeźwił ją prędko solami chemicznemi, a potem mówił:

— Lady wyświadczyłaby mi wielką przysługę, gdyby zechciała oprowadzić mnie po wszystkich, nawet najbardziej skrytych ubikacyach pałacu.

Popatrzyła na niego ogromnemi oczami, w których strach się przejawiał:

— Czy spodziewasz się pan jeszcze dalszych odkryć tego rodzaju?

— Zależy!... Proszę, niech pani prowadzi!

Służba niosła przed nimi zapalone latarnie.

Lady prowadziła detektywa z pokoju do pokoju. Tak doszli wreszcie do galeryi, gdzie lord Thishourst przechowywał kosztowne swoje malowidła. Lady wszedłszy wydała straszny krzyk i ręką wskazała na wielką ciemną płaszczyznę widną na ścianie.

Ściana była próżną. Znikł nieocenionej wartości obraz z czasów Karola I. przedstawiający króla Anglii w koronacyjnych szatach.

— Nie zadziwia mnie to wcale — rzekł Holmes półgłosem do Taksona, który nie mógł znaleść słów podziwu.

— Czy to pana nie zastanawia? — zapytał wreszcie. — Czy ten Manolesseu zwaryował? Cóż on pocznie z obrazem wielkim niemal jak ta ściana? Jak on go z tąd wyniósł?!

— W bardzo prosty sposób, przez drzwi! Zapominasz, że nikt mu w tem nie przeszkadzał i gdyśmy tu przybyli, on był już gdzieś daleko, daleko!...

Lady Thishourst stanęła i rzekła:

— Pokazałam więc panu wszystkie pokoje mr. Holmes! Pozwoli mi pan teraz oddalić się?! Czuję się tak osłabioną, że doprawdy ledwie na nogach stoję!

— Pojmuję to dobrze — rzekł Holmes ze współczuciem — że ostatnie przejścia mogły wstrząsnąć organizmem pani!

— Jestem bliską szaleństwa! — zawołała kobieta łkając. — Czy pan opuści zamek i przyszle policyę? Przecież trzeba natychmiast wszcząć jakieś dochodzenia!

Dziwny uśmiech okrążył wązkie wargi Holmesa.

— Bądź pani spokojna! Dochodzenie będzie przeprowadzone!

Potem puściwszy młodą kobietę naprzód, szedł za nią po schodach. Na parterze ucałował jej rękę i skłonił się.

— W sali recepcyjnej oczekujemy na policyę! — rzekł głośno.

Potem zszedł kilka kroków, ale nagle skręcił na lewo w ciemny korytarz, który prowadził w podziemia i pociągnął za sobą Taksona.

— Gdzie idziemy, mistrzu?

— Chcę poznać tajemnicę zamku Streetham - odpowiedział wielki detektyw.

— Sądzisz pan, że są jeszcze jakie?

Holmes zaśmiał się gorzko.

— Czy zapomniałeś o martwej ręce z opalem?

Tak doszli podziemnym korytarzem do jakichś drzwi żelaznych i podczas, gdy Harry świecił elektryczną lampką usiłował Holmos wysadzić zawiasy. Ale prędzej byłby te odwieczne mury poruszył aniżeli żelazne drzwi.

— To fatalne! — mruknął. Nie chcę pod żadnym warunkiem wtajemniczać w moją działalność obcych

ludzi. Musimy odważyć się na ostateczności. Harry! Ile masz strzałów w rewolwerze?

— Sześć, panie Holmes!

— Allright! Oddamy 12 strzałów w zamek. Nie przypuszczam, żeby słyszano huk na górze. Znajdujemy się co najmniej 5 metrów pod powierzchnią ziemi!

— A co spodziewasz się pan tu znaleść?

— Albo nic, albo bardzo wiele! — brzmiała zagadkowa odpowiedź.

Zagrzmiało 12 strzałów i zamek został zdemolowany. Teraz bagatelką już było wysadzenie drzwi. Otworzywszy je zeszli jeszcze niżej i znaleźli się w jakiejś zamkniętej przestrzeni.

Holmes obchodził dookoła ściany oglądając je troskliwie przy pomocy kieszonkowej latarni elektrycznej.

A może się pomyliłem! — rzekł detektyw przeszukawszy trzy czwarte części otaczających murów.

Nagle zawołał Harry:

— Ależ to straszne mistrzu! Tego byłbym się nigdy nie spodziewał!

Na ścianie wisiał, będący już w rozkładzie trup kobiety odziany kosztowną szatą.

Czy to była kobieta młoda i piękna, trudno już było dzisiaj rozpoznać, ale wnioskując z figury można było to przypuścić.

Przyczynę śmierci można było z łatwością skonstatować. W szyi miała ranę, głęboką, ciętą. Cały wygląd trupa był po prostu straszny, a wrażenie to potęgowała, jeszcze ta zaduszna piwnica. Prawa ręka trupa była w kostce ucięta.

— To jest kobieta, której rękę znaleśliśmy w aparacie fotograficznym! — zawołał Harry — Skąd ona się tu wzięła, kto zamordował nieszczęśliwą, czy lord wiedział co się u niego w piwnicy przechowuje?!

— W twoich pytaniach zawarte są właśnie tajemnice tego zamku — odpowiedział Holmes ponuro. — Przypominam sobie, że na fotografii zamku Streetham, którą widziałem raz w Londynie była podobna kobieta: te same granatowe włosy, ta sama suknia nawet! Stała na środku schodów zamkowych.

— A co to była za kobieta?

— Lady Thishourst, pierwsza żona Lorda!

Harry się otrząsnął na tą pełną grozy nowinę

— A zatem pan sądzisz, panie Holmes — — nie dokończył pytania.

— Jestem przekonany, że mamy przed sobą pierwszą żonę lorda — odpowiedział detektyw. — Ale czas na nas, chodźmy!...

Wyszedłszy na podziemny korytarz, poczuł pierwszy Holmes lekki przeciąg i błyskające w tym kierunku słabe światełko. Idąc ku niemu doszli do jakiejś wązkiej szczeliny, do której zaraz wepchał się Szerlok, a za nim naturalnie i Harry Takson.

Teraz znajdowali się w długiej, a wązkiej rurze, służącej w dawnych czasach prawdopodobnie do zasilania wodą fontann.

Po długiem pełzaniu, wydostali się wreszcie na wolność i znaleźli się w jakiemś kwadratowem, niewielkiem podwórzu, otoczonem dokoła wysokiemi, w gruzy rozpadającemi się murami.

— No, a teraz zdaje mi się, że wpadliśmy samochcąc w pułapkę!

— Mistrzu! — rzekł młody Harry — będę szukał, czy tu niema drugiego jakiego wyjścia?! — Ale Holmes położył mu dłoń na ramieniu i odpowiedział:

— Cicho! ani słowa! Czy nie słyszysz?!

Harry nadsłuchiwał.

W istocie słychać było odgłos, jakby spadających ciężkich kamieni na podłogę.

Szerlok wskazał na stojącą obok studnię i rzekł:

— Ten stuk musi stamtąd pochodzić!

Nagle podniósł się krąg, zamykający studnię i wychyliła się z niej głowa. Przez kilka sekund patrzyli detektywi ze zdumieniem na twarz Manolesseu, który chytremi, bystremi oczyma z niemniejszą ciekawością patrzył na nich.

Naprzód! — krzyknął Holmes i jednym susem znalazł się przy studni. Mamy przed sobą rozwiązanie zagadki!

Głowa zniknęła natychmiast w studni.

Szerlok Holmes już opuszczał się do jej wnętrza, ale wnet poznał, że tylko z nadzwyczajną ostrożnością może w głąb się pogrążać, nie chcąc narazić się na niebezpieczeństwo runięcia w bezdenną przepaść.

Zaledwie, rozpierając się rękami i nogami, przebyli połowę tej kamiennej drogi, gdy rozległy się gdzieś z głębi strzały, które grzmiały w tej otchłani, jako prawdziwe strzały armatnie.

Harry zatrzymał się rękami i patrzył z najwyższym niepokojem na będącego niżej Holmesa, który właśnie znajdował się w linii strzałów.

Detektyw był niemniej, jak Harry, zdziwiony tem, że żaden strzał. go nie trafił.

Opuścił teraz ramiona i spadł zręcznym skokiem na dno studni, z którego prowadził jeszcze dalej jakiś korytarz.

Może to jakieś skryte, zamaskowane przejście, w jakie były zaopatrzone wszystkie starożytne zamki!..

Poszli owym kurytarzem, który zawiódł ich — do kaplicy w podziemiu!

Ołtarz był obramowany trupiemi czaszkami, które częściowo porozpadały się już w proch. Na ścianach wisiały ludzkie żebra i kości.

Na środku osobliwszej tej kaplicy stał blok, na jakim zwykle ścinano zbrodniarzy i topór.

Straszne te zabytki pochodziły z średniowiecznych czasów, kiedy to pan zamku posiadał nad swymi poddanymi prawo życia i śmierci, jak i rozporządzalności ich mieniem.

Kaplica owa była więc po prostu miejscem tracenia ludzi podległych juryzdykcyi panów lordów.

Ale bynajmniej nie groza tych trupich emblemtów i godeł śmierci była przyczyną, dlaczego obydwaj detektywi stali jak wryci.

Patrzyli oni zdumionymi oczyma na olbrzymie dwie ciężko okute skrzynie. Znajdowały się w nich już resztki skarbów, o jakich wspominał lord nieboszczyk. Te „ostatki“ wystarczyłyby jednak za „dostatki“ niejednemu człowiekowi. Drogocenne przedmioty porozrzucane bezładnie po ziemi, świadczyły z jakim pośpiechem gospodarzył tu jakiś gość nieproszoy.

Nale spuściła się z góry istna kamienna lawina. Kamienie przeróżnej wielkości, kalibru i gatunku leciały na dół, że cudem jakimś tylko nie roztrzaskały głów obydwóch detektywów.

— Teraz pojmuję owych 6 strzałów rewolwerowych Manolescu! — rzekł Holmes. — To, co miałem za strzały, było to detonacye dynamitowe. Łotr pozakładał miny w podziemnem przejściu chcąc się ratować przed pościgiem. Nie mamy innego wyboru, jak wracać tą samą drogą, którą przybyliśmy!

Przecisnąwszy się napowrót tak uciążliwem przejściem — ponowili detektywi poszukiwania w zamku i okolicy. Daremnie, Manolescu zniknął bez śladu, co dziwniejsza nie można było nigdzie znaleść pomocników genialnego złodzieja!

W złem usposobieniu powrócił Holmes do zamku. Widział się zmuszonym pozostawić policyi ostateczne ściganie zbrodniarza, uwagę jego bowiem zaabsorbowało co innego.

— Centrala policyjna zapytywała telefonicznie o pana, mister Holmes! — rzekł inspektor.

— Centrala? Cóż oni tam chcą odemnie, czy zaszło co nowego?

— Tak się zdaje mr. Holmes!

Detektywi pospieszyli do telefonu i słuchali.

— Tu Szerlok Holmes!

— Czy sam we własnej osobie?

— Wel!

— Znaleźliśmy mr. Blake aeronautę zamordowanego. To znaczy — mamy dotyczas głowę. Czy chcesz pan zająć się tą sprawą?

— Mr. Blake zamordowany?—szepnął do Taksona. Mnie się zdaje, że ci zbrodniarze wymordują się wzajemnie, bo nie ulega kwestyi, że i mr. Blake był skończonym łotrem!

— Co do mnie dziwię się, że dotychczas nie znaleziono reszty jego ciała! — rzekł do telefonu.

— Co? jak? Pan wiedziałeś, że Blake zabity?

— Nie wiedziałem na pewne, ale przypuszczałem.

— Odkąd?

— O! od ośmiu dni przeszło!

— Do dyabła właśnie wtedy miano go zamordować!

— Dziwna rzecz! Rybacy wyłowili z Tamizy jego głowę. Ale wiemy, że w owym czasie aeronauta żył jeszcze!

— Prosta rzecz, panie inspektorze! Kto inny odgrywał jego rolę! A był to genialny zbrodniarz, pokładający zresztą wiele ufności w balonach; był przygotowany nawet w ostatniej chwili ujść balonem.

— A więc ów aeronauta, o którym tyle w ostatnich czasów mówiono!..

ROZDZIAŁ V.

Walka na śmierć i życie.

Skrupulatna rewizya przeprowadzona w obecności władz policyjnych przez Szerloka Holmesa w domu aeronauty wydała niespodziewane, zdumiewające wyniki.

Był to ten sam dom, gdzie detektyw zastał skrępowanego Manolescu.

Pod podłogą, w różnych zakamarkach domu — znaleziono mianowicie resztki zwłok aeronauty po-

rąbane w kawalki ze zręcznością i w prawą zawodowego rzeźnika.

Natomiast z Manoleskiem nigdzie nie można było się spotkać. Holmes powrócił z pomocnikiem swoim do domu, by zażyć choć kilka godzin zasłużonego od dawnego snu.

Na biurku w swoim gabinecie przerzucił Holmes nadeszłą w zeszłym dniu korespondencyę.

— Czy jest co nowego? — zapytał sennym głosem Harry.

— I tak, i nie! — odpowiedział detektyw.

Nagle odezwał się ostry ton dzwonka telefonicznego. Harry pospieszył do aparatu i powrócił po chwili zmięszany i krzyknął:

— Mistrzu! Trzeba natychmiast udać się do zamku Streetham. Lady Thishourst zniknęła gdzieś! — — Udano się natychmiast automobilem na miejsce.

Po drodze roztrząsali detektywi wszystkie, tak szybko po sobie następujące straszne zajścia związane z rodziną Thishourstów i zamkiem Streetham. Szerlok Holmes pouczył zdziwionego Taksona, że pomimo wszystkich pozorów i poszlak, pozwalających się domyślać, że kradzieże i morderstwa popełniał jeden i ten sam człowiek — nie było jednak tak.

Monolescu jest tylko genialnym włamywaczem, złodziejem wyższego rzędu, nigdy jednak mordercą. Krwawe czyny spełniał równocześnie inny ktoś, który zarówno jak Manolescu wymykał się z zadziwiającą zręcznością z rąk władzy.

Manolescu udało się odgadnąć tajemniczy testament i na podstawie tego wiedział, gdzie skarbu należy poszukiwać i skarb ten znalazł w rezultacie.

Krzyżyk, oznaczający na planie okno sypialni lady Thishourst miało dla niego znaczenie punktu strategicznego w zbrodniczych czynnościach. Nie jest wykluczonem również, że mógł być zarazem kochankiem pięknej młodej kobiety. Jednak z zabójstwem starej kokietki, jak i uroczej młodej Ellen, samego lorda i obecnie ze śmiercią aeronauty nie miał zgoła nic wspólnego.

Dziwnym zbiegiem okoliczności morderstwa obrabowanych przez Manolescu osób następowały prawie bezpośrednio po spełnieniu czynu, ale następowały z ręki innego zbrodniarza, który również rabował, ale zabijał zarazem, a przez swoją działalność nieraz krzyżował plany Manolescu.

Morderca posługiwał się rewolwerem nie dającym przy wystrzale żadnego huku, a nabijał go nie kulami, lecz drobniutko posiekanym papierem, który robił straszne dewestacye w zadanej ranie.

Manolescu zirytowany, że mu inny zbrodniarz wchodzi w drogę — wybrał się w nocne odwiedziny do niego. Był nim fałszywy mr. Blake. Niestety! Ten ostatni był silniejszym od niego, pokonał go, skrępował na własnem łóżku a następnie sam umknął.

Kolia Ellen znaleziona została w zarzutce Manolesca.

To prawda, nie zapominajmy jednak, że człowiek ten przeszedł zręcznością wszystkich złodziejów świata. Włamawszy się do pseudo-aeronauty pozbawił go przedewszystkiem tego drogocennego klejnotu, a że umiał w podobnych sytuacyach dobrze się sprawiać to już świadczy o tem kradzież złotego zegarka i szpilki Szerloka i Taksona.

Fałszywy mr. Blake jest mordercą Ellen i sprawcą całego szeregu krwawych czynów.

— Co za szczególny zbieg okoliczności! W tym chaosie mogłeś pan tylko się zoryentować! Dobrze! I ja teraz wierzę, że Manolescu nie jest mordercą, ale jakżeż ma się sprawa z tą martwą ręką? Co za znaczenie ma ów kamień w pierścieniu? I ogółem jak sobie tłomaczyć morderstwo dokonane na owej kobiecie, której trupa znaleźliśmy w piwnicy?

Pierwsza żona lorda umarła podobno na obczyźnie, kiedy i wskutek czego — niewiadomo.

W niedługi czas ożenił się stary lord z młodą i piękną córką indyjskiego oficera, kobietą dumną i chciwą. Ona miała majątek, ale żadnej pozycyi towarzyskiej. On był finansowo zrujnowany, ale zapewnił jej świetne koligacye w wielkim świecie. Związek ten przedstawiał zatem niezaprzeczoną wartość dla stron obu.

Lord Thishourst i jego druga żona była to dobrana para zwyczajnych zbrodniarzy.

— Dlatego przeraził się lord tak bardzo widokiem martwej ręki, ale rękę tą podrzucił ktoś obcy!!.. A zamordowanie lorda! Jakżeż to wytłómaczyć?

Otóż lorda zamordował bez żadnej wątpliwości fałszywy mr. Blake.

Przybywszy na miejsce, do zamku Streetham zastali mnóstwo policyantów i detektywów zgromadzonych w parku i najbliższej okolicy.

Po długich wywiadach ustalono fakt, że ostatnim razem była lady w parku, poczem zniknęła bez żadnego śladu. Jakiś jaskrawy, na czerwono

pomalowany automobil pędzący ku miastu widział ktoś ze służby.

Holmes wraz z Taksonem zbadali dokładnie ślady kołowego automobilu, którego kierunek jazdy rzeczywiście prowadził ku Londynowi.

Przypatrzywszy się jednak bliżej, zauważył Holmes, że tam gdzie się kończyły wyżłobienia kół, rozpoczynały się ślady drobnych stóp kobiecych — wprost w przeciwnym jednak kierunku.

Nie udzielając swoich spostrzeżeń nikomu, skinął wielki detektyw na swego pomocnika i rzekł:

— Pójdź Harry! zrobimy małą przechadzkę w kierunku Manorparku.

Harry zrozumiał niezrównanego mistrza. I on był podobnego zdania, co Holmes, że lady była zmuszoną przez swego uwodziciela, zamiast udać się do Londynu — pójść w przeciwnym kierunku.

Doszli do łąki, poprzecinanej w najrozmaitszych kierunkach tymi samymi śladami. Ale bystre oko detektywa zoryentowało się wkrótce w tym chaosie.

Popatrzał z szelmowskim swoim uśmiechem prosto w oczy Harremu i rzekł:

— Niech ją dyabli porwą tą lady!... Chaciał nas na kawał wziąść. Teraz widzę, że nie uległa ona żadnej przemocy, ani gwałtowi ze strony tego, który ją uprowadził — owszem opuściła z nim dobrowolnie Streetham, a co najważniejsza, że istotnie do Londynu uciekła ta interesująca parka!...

Harry zrobił zdziwione oczy.

— Chodź Harry ze mną! Czy widzisz dokąd wiodą te ślady? Czy widzisz ów samotny domek na końcu łąki?

— Czyżby tam się ukryła zbrodnicza para?— szepnął Harry.

Obaj szybkimi krokami zdążali w kierunku sielankowego domku o bielonych ścianach.

Nagle rozległy się stamtąd trzy strzały i naprzeciw detektywów wybiegł pędem z bronią w ręku Manolescu.

Harry rzucił się ku niemu, a wtedy zbrodniarz zawrócił z miejsca i usiłował dobiedz do bramy białego domku.

Równocześnie ukazała się w otwartem oknie twarz lady. Zanim Manolescu zdążył otworzyć bramę i wskoczyć przed pościgiem do sieni — wypadła przed dom lady z dwoma rewolwerami w ręku.

— Tu do mnie dżentelmenowie! Ten nędznik chciał mnie skrzywdzić, planował zamach na mój honor i cześć niewieścią!...

Manolescu zgłupiał po prostu na takie powiedzenie.

W tej samej chwili rozległ się strzał i Manolescu padł na ziemię, jak piorunem rażony.

Z szatańskim uśmiechem na twarzy spoglądała piękna kobieta na swoją ofiarę.

Holmes i Harry stali już przy niej.

— Coś uczyniła nieszczęsna! — zawołał piorunującym głosem detektyw.

Oburzenie i zgroza widniały w jego rysach.

— I pan się pytasz, panie Holmes? — zapytała z całą bezczelnością. — Po cóż pan tu jesteś? Po co przybyłeś, jak nie, żeby mnie ratować? Zabiłam tego, który ośmielił się lady Thishourst obrazić!...

— Holmes uśmiechnął się dziwnie.

— A więc Manolescu chciał panią uwieść?

— Ja nie wiem czy się tak lub owak nazywa! — odrzekła. — Zmusił mnie bym z nim tu przyszła! To nędznik! Ale zmyłam zniewagę krwią jego!...

Weszli do pokoju.

Holmes zauważył na środku podłogi niewielkie koło, zakreślone czerwonym szlakiem.

Detektyw wbił swój nóż w środek kręgu.

Harry zbliżył się z ciekawością do swego mistrza.

— Precz stąd mały! — zawołał Holmes. — Czy chcesz zapoznać się z kulą tych zbrodniarzy?

Przy tych słowach wypalił trzykrotnie w okrągły otwór w podłodze i znikł w nim po chwili.

Nagle poczuł Harry, że pochwyciły go niespodzianie z tyłu małe ale silne jakieś ręce. Ostre paznokcie wpiły mu się w szyję, dusząc coraz silniej.

Chciał się obrócić, ale lady Thishourst wisiała jak pantera na jego plecach.

Harry nie widział innego wyjścia, jak uciec się do pewnego fortelu, którego nabył, ćwicząc się w walce metodą japońską.

Skurczył muskuły nóg i nagle rzucił się całą siłą naprzód.

Lady nie będąc przygotowaną na to, przeleciała mu przez głowę i upadła na ziemię.

W tym momencie rzucił się Harry na nią. Z szybkością i pewnością skrzyżował jej ręce na plecach i założył na nie kajdanki.

Tymczasem z pod podłogi rozległ się strzał.

Harry rzucił jeszcze raz wzrokiem na skrępowaną, jakby chcąc się upewnić, że nie grozi niebezpieczeństwo, by mogła się z stalowych więzów

wyłamać. Ale lady leżała na ziemi nieruchomo, jak kłoda.

Teraz skoczył Harry za przykładem ukochanego swego mistrza w podziemie, nie puszczając rzeczywiście z rąk rewolweru.

Gdy oko jego przyzwyczaiło się powoli do ciemności, panującej w piwnicy, zauważył dwie wysokie męzkie postacie, które splótłszy się ramionami, zmagały się w rozpaczliwej walce.

Przyjrzawszy się bliżej, krzyknął na głos ze zdumienia.

Człowiek walczący z Holmesem nie był nikt inny jak Manolescu, Manolescu, ten sam, którego przed pół godziny zastrzeliła lady Thishourst!... To nie do pojęcia!...

Ale pomimo najszczerszych chęci, żądzy odwetu i oburzenia nie mógł pospieszyć Holmesowi z pomocą, gdyż nie był pewnym czy żelazo lub strzał zamiast trafić nędznika nie dostał by się detektywowi, tak silnie spleceni ze sobą byli zapaśnicy, a przy panującej ciemności i ciasnocie miejsca — walka nabierała prawdziwie tragicznego charakteru.

Rozchodziło się tu o śmierć i życie najszlachetniejszego człowieka i najnędzniejszego zbrodniarza.

O tryumf prawdy i sprawiedliwości lub zwierzęcej podłości i zbrodniczego bestyalstwa.

Czoło detektywa pokrywał gęsty pot, mieszając się z strugą krwi, cieknącą mu z pod włosów.

Wtem nagły krzyk rozdarł powietrze.

Na ziemię zwalił się Manolescu, a z otwartej nożem piersi rzuciła się krew obficie, ściekając w piasek.

Detektyw westchnął głęboko, opierając się o ścianę.

— Mistrzu! ty jesteś ranny! — zawołał Harry z trwogą.

— Głupstwo, o którem nie warto mówić — rzekł wielki detektyw bagatelizująco, a potem dodał uroczystym tonem:

— Świat został uwolniony od wielkiego zbrodniarza!

— To Manolescu? — zapytał Harry gorączkowo. — Na górze leży jeden zastrzelony, tu na dole drugi — rozpłatany.

— Rozwiązanie nader łatwe! — odpowiedział Holmes z uśmiechem. — Ten, którego lady zastrzeliła jest prawdziwym Manolescu, rabusiem skarbu w zamku Streetham. Ten był tylko zamaskowanym, dobrze ucharakteryzowanym Manolescu i był zarazem kochankiem tej krwawej hetery!

Gdy detektywi wrócili do skrępowanej lady, która spojrzeniem pełnem nienawiści, mierzyła ich, spostrzegli ze zdumieniem, że obydwaj nie mają w płaszczach, zostawionych w pokoju swoich portfejlów z pokaźną sumą pieniędzy.

Harry jakby tknięty jakiemś przeczuciem wybiegł za drzwi i rzucił okiem.

Zabitego Manolescu nie było już.

— Mistrzu trup uciekł! — zawołał z komicznem przerażeniem.

Istotnie Manolescu uciekł, lecz nie jako trup, a żywy i zdrowy człowiek.

Strzał lady go chybił, zrazu symulował śmierć, gdy jednak widział, że detektywi odeszli wolał szukać szczęścia gdzieindziej. Nie zapomniał jednak wziąść ze sobą na pamiątkę dobrze wypchanych portfejlów detektywów, którzy z taką natrętną czułością opiekowali się nim.

Lady Thishourst miała kochanka w osobie owego tajemniczego człowieka, który na przemiany występował raz jako Monolescu, raz jako aeronauta mr. Blake. Jego to podmówiła potworna kobieta do spełnienia wszystkich krwawych zbrodni, jakie rozegrały się w zamku Streetham.

Piękna lady Tishourst oczekuje za kratkami zasłużonego swego losu!

Była to jedna z tysięcznych przygód genialnego policysty, który poświęcając własny spokój i szczęście z narażeniem życia walczył w imieniu sprawiedliwości i prawdy — ścigał i prześladował występek i zbrodnię.

Niespożytemi temi zasługami położonemi dla całej ludzkości zdobył też sobie nieśmiertelne imię.

KONIEC.

FELJETON

O TRUCIZNACH.

Straszne nieszczęście zdarzyło się przed kilkunastu dniami w mieście Paterson w Ameryce Z fabryk produkujących zapałki, ognie sztuczne i szkodliwe dla zdrowia preparaty chemiczne, bywają zabójcze gazy odprowadzane specyalnymi rurami poza obręb miasta, ulicami zamieszkałemi przez ludność tameczną. Oczywiście, że rury te są a raczej powinny być hermetyczne.

Niedawno temu przedsięwzięto oczyszczenie tych rur, ale po ukończeniu tej czynności — prawdopodobnie nie zatkano je dokładnie.

Gdy fabryki około godziny 7-mej na nowo wypuściły zapas nagromadzonych gazów, napłynęły te lotne, trujące substancye z wielką gwałtownością do mieszkań. Ludzie znajdujący się tam w krytycznym czasie popadali jak muchy na ziemię, podobnież było z przechodniami, którym droga wypadła obok przewodów.

Zarekwirowano w tej chwili straż ogniową i policyę i wyniesiono nieszczęśliwych na świeże powietrze, wolne od zabójczych gazów, a potem przetransportowano ich wozami ratunkowymi i dorożkami do szpitalów.

Liczba uległych katastrofie, wśród których przeważają kobiety i dzieci – przenosi sto osób, a znajdują się wśród nich i całe rodziny.

Stan ich zdrowia jest jak dotychczas średnio-zadowalniający, i nie jest wykluczoną nadzieja, że wszyscy opuszczą szpital.

Mnóstwo rodziców szukało do późnej nocy swych dzieci, które ogłuszone wybuchem gazów, znalazły prawdopodobnie doraźną opiekę u obcych miłosiernych ludzi.

Całe miasto było wzburzone tym wypadkiem a tłumy spieszyły na miejsce katastrofy, gdzie jeszcze długo czuć było w powietrzu trującą woń.

Z licznego rodzaju trucizn są bez kwestyi najgroźniejsze gazy trujące, obok nich jednak godnie stanąć może także i jad wężów.

Według najnowszych badań Pasteura truciznę wężów można podzielić na dwie kategorye. Pierwsza, t. zw. „neurotaksyczna“, gdzie jad udziela się odrazu całemu organizmowi przez system nerwowy. Truciznę tą wydziela okularnik i inne gady żyjące na Wschodzie. Druga kategorya jadu wężowego działa lokalnie, t. zn. wyłącznie na miejsca, gdzie trucizna została przez ukąszenie węża wszczepioną. Do tej należą: jad grzechotnika i żmii.

Mylnem zupełnie jest mniemanie, że trucizna zwierzęca działa jedynie tylko wtedy na ludzki organizm, jeżeli bezpośrednio dostanie się do krwi. Pociąga ona za sobą niemniej groźne skutki, jeżeli tylko w wystarczającej ilości dostanie się jakiemikolwiek bądź drogami do wnętrza ciała.

A zatem wyssanie rany nie jest w takich wypadkach bardzo wskazane.

Tak samo rozpowszechnione zdanie, że jad jednego węża jest dla drugiego nieszkodliwym — nie wytrzymuje ścisłej krytyki. Odnosić się to tylko może do wężów tego samego gatunku.

Najskuteczniejszymi odczynnikami przeciwko jadowi wężowemu są różne żrące środki chemiczne, jak również „serum“ uzyskiwane z krwi koni.

Ogółem niema takiej drogi ani środka, któremiby trucizny nie można wprowadzić do ludzkiego organizmu.

To, co jednak tradycya opowiada o zatrutych listach, przy otworzeniu których woń zabijała, o zatrutych koszulach, woalkach, rękawiczkach, kwiatach, świecach, pochodniach, etc. — trzeba przyjmować z pewnem zastrzeżeniem, aczkolwiek nie ulega wątpliwości, że w minionych wiekach posiadali ludzie tajemnice przyrządzania subtelnych a nadzwyczaj zabójczych trucizn.

Odnosi się to n. p. do słynnego lekarza Bergamo, nadwornego „lajbmedyka“ Henryka XIII księcia Parmy. Piekielnik ten wynalazł truciznę, podobną do tej, jaką opisuje Teophrast i jego następcy, a która posiadała własność pozbawiania życia po upływie określonej liczby godzin lub dni. Osoby, które stały mu w drodze, lub znudziły po prostu, jak się to działo z damami dworskiemi,

obdarowywał szatami. Robił im podarunki z kompletnych ubrań włączając w to bieliznę i obuwie. Sukni tych nie wolno im było zdejmować. Wkrótce rozpoczynała działanie swe — zawarta w nich trucizna, prawdopodobnie jakieś chemiczne połączenia arsenu i żywego srebra. W okropnych mękach znajdowali „obdarowani“ śmierć.

I w naszych czasach zdarzają się wypadki przypadkowego zatrucia wskutek noszenia pewnych części składowych ubrania. Zdarza się często, że jedwabne pończochy zawierają znaczną zawartość cynku, mającego służyć do powiększenia ciężaru jedwabiu. Trucizna ta działa bardzo ujemnie na krew, serce i mózg.

Arsen jest niemniej szkodliwy, a działa szybciej od cynku.

OGŁOSZENIA.

Wydawca: Aleksander Ripper. Redaktor odpowiedzialny: Józef Czopek. Drukarnia A. Rippera w Krakowie.